

Jerzy Słowikowski

żołnierz AK
Okręgu Wileńskiego
harcerz, inżynier



2015

Jerzy Słowikowski

żołnierz AK
Okręgu Wileńskiego
harcercz, inżynier



kwiecień 2015

Książka wydana staraniem Energo-Complex Sp.z o.o.
41-949 Piekary Śląskie, u.Lotników 9
Tel./fax +48 32 775 67 00, 775 67 02

ISBN 987-83-924464-3-9

Realizacja, druk:
LAVENDE Jolanta Budzyńska

Copyright by Energo-Complex, Piekary Śląskie 2015

Osobistą dewizą Jerzego przez całe życie był obowiązek służby krajowi i ludziom. Mimo, że nigdy jej nie wypowiedział, Jego działania były tej idei podporządkowane. Dawał temu wyraz w swoich wspomnieniach, korespondencji i rozmowach z bliskimi i przyjaciółmi.

W spuściźnie jaką pozostawił wyodrębnił 3 okresy swego życia: dziecięcy, młodzieńczy i dorosły:

- w pierwszym okresie istotną rolę odegrała atmosfera domu rodzinnego, świadome kształtowanie patriotyzmu i przełamywanie własnych słabości,

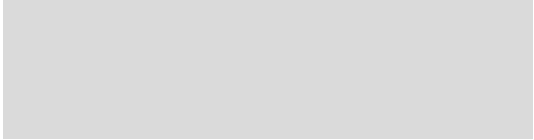
- w drugim okresie – czas wojny stanowił sprawdzian, że mimo młodego wieku, nie można być biernym, ale należy walczyć,

- okres trzeci – jest świadectwem przekonania, że można służyć krajowi oddając się pracy organicznej. Mimo niezgody na istniejący po 1945 r. ustrój polityczny, słuszne jest angażowanie się w rozwój gospodarczy Kraju.

Z natury optymistą, starał się dostrzegać i podkreślać to, co było pozytywne.

Udostępniając czytelnikom Jerzego wspomnienia pragnę złożyć serdeczne podziękowania wszystkim, którzy mnie w tym przedsięwzięciu wspierali, w tym, w szczególności, Ewie Łoś-Jankowskiej i Marcinowi Strzemboszowi, którzy mnie służyli swoją wiedzą i wskazówkami w nadaniu ich ostatecznego kształtu.

Helena Słowikowska



Pana Jerzego Słowikowskiego poznałem w 1959 roku na Katedrze Wysokich Napięć Politechniki Warszawskiej, kiedy na zebraniach Katedry opowiadał asystentom o swoich pracach nad diagnostyką izolacji wysokonapięciowej, jako zaproszony pracownik naukowy sąsiedniego Zakładu Wysokich Napięć Instytutu Elektrotechniki.

Jego wiedza imponowała nam, początkującym adeptom wysokonapięciowej specjalizacji, bo studiował także na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego i tłumaczył wyniki badań i prób wskazując na mechanizm fizyczny obserwowanych zjawisk. Czuję się zaszczycony Jego życzliwością kiedy zabierał mnie ze sobą na badania stanu izolacji transformatorów na podwarszawskich stacjach i uczył interpretacji wyników pomiarów.

Kiedy przenieśliśmy się do Zakładu Wysokich Napięć I EI'u pan Jerzy stał się moim starszym kolegą i często korzystałem z Jego rad i wsparcia, a co więcej dotarły do mnie wiadomości o Jego niezwyklej drodze życiowej, działaniach w Armii Krajowej udziale w walkach o Wilno i o powojennej konspiracji oraz pobycie w więzieniu Urzędu Bezpieczeństwa.

Miałem szczęście pracować w tym niezwykłym na owe czasy zespole naukowców, bo moim kierownikiem pracowni był pan Jerzy Gzylewski, który w Powstaniu bronił Gmachu Architektury Politechniki Warszawskiej, inny pracownik naukowy pan Skowroński uczestniczył w walkach 27 Wołyńskiej Brygady AK i przebijał się przez rzekę Turę pod ogniem

niemieckiej i sowieckiej broni maszynowej a Zakładem Wysokich Napięć kierował profesor Hasterman, Ślązak, uznany specjalista, transformatorowiec z przedwojennej szkoły.

Pan Jerzy nie wspominał o swoich przeżyciach ale zachęcał do nas pracy organicznej. Uważał, że pomimo policyjnego systemu i kolonialnej zależności od „wielkiego brata” należy dokładać starań aby odbudować polską powojenną gospodarkę i zapewnić jej naukowe zaplecze, a w miarę możliwości utrzymywać kontakt z zagranicznymi ośrodkami naukowymi, uczestniczyć w pracach CIGRE.

Pan Jerzy był dla mnie wzorem postępowania, pokazując jak syn wyższego oficera Wojska Polskiego, urodzony w dwudziestoleciu i uformowany przez niepodległościową tradycję rodzinną, który brał udział w bitwie o Wilno, z bronią w ręku działał wśród „żołnierzy wyklętych”, był więziony i poddany śledztwu przez UB, po wyjściu z więzienia nie zdecydował się na emigrację.

Studiował na Politechnice a także na Uniwersytecie, przez wiele lat rzetelnie pracował w Zakładzie Wysokich Napięć i uzupełniał wiedzę absolwentów Wydziału Elektrycznego, którym brakowało znajomości mechanizmów fizycznych starzenia i degradacji izolacji WN.

Nie dbał ani zabiegał o materialne korzyści i awanse rozdzielane za zasługi dla ówczesnych władz ale uważał, że należy dokładać starań aby wprowadzać nowoczesne technologie produkcji transformatorów w łódzkiej fabryce ELTA i metody diagnozowania izolacji aparatów i kabli WN.

Po zmianie systemu w Polsce i po wielu latach pracy w IREQ w Montrealu wróciłem do Warszawy i szukałem miejsca gdzie mógłbym być przydatny, a po kilku nieudanych próbach trafiłem na pana Marka Szrota i jego nowopowstałą firmę. Wkrótce zorientowałem się, że zarówno pani Helena jak i pan Jerzy także zdecydowali się wspomagać swoją wie-

dzą działalność tego skromnie zaczynającego przedsiębiorstwa. Dzięki temu było wiele okazji do rozmów o sprawach zawodowych a także słuchania opowieści pana Jerzego, opisujących tą część współczesnej nam historii Polski, która w PRL była objęta tajemnicą państwową.

Pan Jerzy był jednym z niewielu uczestników i świadków historii, którego przekaz stanowi nader ważny wkład w zachowanie ciągłości pokoleń i postawy nie ulegającej naciskom a wiernej temu aby zachować twarz.

Ryszard Malewski

Wspomnienia z dzieciństwa

Wiem kiedy moje dzieciństwo zaczęło się i wiem kiedy się skończyło. Zaczęło się 7 kwietnia 1928 r. w Krakowie a skończyło się 28 sierpnia 1939 r., w dniu wyjazdu mojego Ojca na wojnę, z której nie wrócił. Miałem wtedy 11 lat. Mieszkaliśmy w Wilnie.

Rodzice moi byli bardzo kochającym się małżeństwem i ta atmosfera miłości rodzinnej w znacznej mierze ukształtowało moją osobowość i zadecydowała o moim optymistycznym spojrzeniu na świat co do dziś mi pozostało.

Będąc jedynakiem wcześniej zacząłem brać udział w życiu dorosłych. Pamięć moja sięga bardzo daleko i utrwaliły się w niej zdarzenia dotyczące tak życia rodzinnego jak i spraw bardziej ogólnych. Rodzice moi utrzymywali liczne kontakty z członkami rodziny jak i z przyjaciółmi. Oboje pochodzili z wielodzietnych rodzin, w których do tradycji należało wspólne odwiedzanie się, spędzanie Świąt itp.

Dzieciństwo, chociaż to brzmi szumnie, wyrobiło u mnie poczucie obowiązku względem ojczyzny, którą jak we mnie wpojono, miałem kochać nade wszystko. Bardzo wcześnie zaczęły docierać do mojej świadomości treści rozmów prowadzonych między dorosłymi. Matka i Ojciec zorientowali się w tym szybko i wpoili we mnie zasadę dyskrecji, a nawet zachowanie usłyszanych wiadomości w tajemnicy. Było to konieczne ponieważ brałem udział w spotkaniach towarzyskich kolegów mojego Ojca w większości będących oficerami, w czasie których omawiane były sprawy „de publicis”.

Chowany byłem bardzo surowo, ale z zachowaniem zasady sprawiedliwości. Dzięki temu – myślę – nie nabyłem negatywnych cech jedynaka. Miałem być dzielny

A jak to się zaczęło? – Zaczęło się w Toruniu. Ojciec mój, Edward Słowikowski, dyplomowany oficer artylerii, w 1930 r. objął stanowisko Szefa Sztabu Centrum Wyszkożenia Artylerii w Toruniu. Od domu, w którym zamieszkaliśmy, było bardzo blisko do koszar. Kilka razy w tygodniu chodziłem z rodzicami po południu do tychże koszar. Odwiedzaliśmy przede wszystkim stajnie. Stajenni słuźbiście meldowali się mojemu ojcu, co na mnie robiło duże wrażenie. Imponowała mi słuźbistość podchorążych, ich energiczny krok i perfekcyjnie wykonywana musztra; no i oczywiście jazda konna.

Jednym z elementów mojego wychowania było to, że kilka razy w tygodniu, po obiedzie, ojciec brał mnie na tapczan i „męczył”; łachotał i szczypał, powtarzając ciągle „poddaj się”... a jak się poddawałem – to ojciec natychmiast przerywał „męczarnię” i opowiadał „jak to Polak nigdy się nie poddaje”.

Z tej nauki pozostało mi w życiu przekonanie, że po pierwsze nie należy się poddawać, a po drugie, że jeżeli jednak to ktoś czyni, to należy zaprzestać wobec niego wszelkich aktów wrogości.

O tych zasadach przypominał mi zawsze obraz Studenckiego, wiszący, w moim dzieciennym pokoju. Obraz ten przedstawiał legionistę wspierającego zranionego we wspólnym boju kozaka. Malarz zatytułował swoje dzieło: „Miłosierdzie”. Nad moim łóżkiem umieszczona była zaś reprodukcja obrazu Wyczółkowskiego, pod tytułem „Etap”. Przedstawia on trzech zesłańców pędzonych na Sybir, którzy wykorzystywali postój na modlitwę. Więźniowi ci należą do 3 pokoleń. Są to: starzec o twarzy zrezygnowanej, młodszy – w średnim wieku, żarliwie się modlący i najmłodszy patrzący z rozpaczą

w niebo. W tym najmłodszym widziałem mojego pradziada Juliusza Plocera, skazanego na Sybir za udział w Powstaniu Styczniowym. Jest w Moskwie szeroka ulica, którą nazwano Aleją Entuzjastów – tą właśnie drogą pędzeni byli zesłańcy.

Rodzice wyposażyli mnie w historyczny mundur ułana „jazdy poznańskiej” z czasów Księstwa Warszawskiego, szabelkę i karabinek. W domu na jednej ze ścian wisiała prawdziwa szabla i karabin z czasów wojny z bolszewikami.

Karabin ten odegrał ważną rolę w moim, nie przewidywanym przez nikogo, a opisanym poniżej zdarzeniu.

W 1934 r. na staż do Torunia, przyjechała grupa japońskich oficerów, a wśród nich – kapitan artylerii – Rikisziri Sawamoto. Oficer ten biegle mówił po rosyjsku i rozumiał język polski. Zaprzyjaźnił się – z moim ojcem i często bywał w naszym domu „na brydżu”. Grywało się wtedy na ogół – w piątkę, przy kolejnym tzw. „wychodzeniu”. Pewnego razu, w czasie gdy „wychodzącym” był Japończyk, ja nałożyłem „tatulową” kurtkę wojskową i czapkę, która spadała mi na oczy, i z ww. karabinem „wyskoczyłem z za kotary, mierząc w Japończyka i wołając „poddaj się”. Japończyk uśmiechnął się i podniósł ręce do góry, a ja wtedy opuściłem karabin i powiedziałem: „a Polak się nigdy nie poddaje”. W salonie zapadła cisza. Jak mi później opowiadała Mama, Japończyk zzieleniał, „wbił” oczy we mnie i po krótkiej chwili opanował się i zwrócił się do mojego ojca: „wy tłumacz swojemu synowi, że ja to zrobiłem tylko dla zabawy, ale Japończyk też się nigdy nie poddaje”. Zawarta została między nami przyjaźń. W czasie częstych konkursów hipicznych siadaliśmy razem na trybunie. Wyjeżdżając do Japonii poprosił mojego Ojca, żeby mnie wysłał do Japonii jak skończę 18 lat, a on pokaże mi jak są szkoleni japońscy kadeci. Tak więc, w czasie wojny 1939 r. wejście bolszewików do Wilna nie zrobiło na mnie piorunującego wrażenia, bo przecież „Polak nigdy nie przyznaje

się do swej słabości i nigdy się nie poddaje". Jeżeli jednak to ktoś czyni, to należy zaprzestać wobec niego wszelkich aktów wrogości.

Pobyt w Toruniu, który trwał 4 lata (1931–1935) łączy się w mojej pamięci z wieloma wydarzeniami. Przez dom moich rodziców przewinęło się wiele osób, w tym kilku znanych jeźdźców, którzy wzbudzali moje szczególne zainteresowanie. Należeli do nich: Kapitan Wojciech Biliński, porucznik Zygmunt Rudziński, porucznik Gąsowski i porucznik Mickunas. Ojciec sam będąc dobrym jeźdźcem patronował tej grupie młodych ludzi i był przewodniczącym Koła Jeździeckiego. Stąd moje prawie codzienne wizyty w stajniach i na parcourach. Ja sam, mając 4 lata, po pierwszej przejażdżce na kłaczy mojego Ojca „Ticie”, wybrałem jednak jazdę na drewnianym koniu, nazwanym przeze mnie „Deptunem”.

Centrum Wyszkozenia Artylerii w Toruniu, pod względem jeździectwa konkurowało z Centrum Wyszkozenia Kawalerii w Grudziądzu. Oczywiście, jako syn mojego Ojca, byłem zawsze po stronie artylerzystów. Pamiętam jak byłem dumny, gdy dowiedziałem się, że rekord wysokości skoku w zawodach „Potegi skoku” zdobył artylerzysta mjr Toczek.

Niektóre imiona koni wspominam do dziś, jak np. łagodnego Rebusia i Florka-Siłacza. Obydwa konie należały do porucznika Wojciecha Bilińskiego. To właśnie on i mój Ojciec uczyli mnie jak obchodzić się z końmi. Zauważyłem już wówczas do jakiego stopnia konie mogą się różnić pomiędzy sobą pod względem usposobienia. I tak np. porucznik Biliński powiedział mi, że jeśli w czasie dojeżdżania Florka-Siłacza tuż przed jazdą na parcour, z jakiegoś powodu uderzył go szpicrutą, Florek mścił się „umyślnie” strącając jedną z ostatnich przeszkód. Nieuderzony przechodził czysto i był najczęściej zwycięzcą konkursu.

W tym okresie, bliskiego kontaktu z końmi nabyłem wiele potocznych powiedzeń, jak np. „trzymać się w cuglach” – to znaczy bacznie uważać na swoje zachowanie, „trzymać kogoś na krótkiej lub długiej wodzy” – to znaczy ostro komuś zwracać uwagę albo być tolerancyjnym. Ja byłem chowany przez Ojca raczej „na krótkiej wodzy”.

W Toruniu zaczęło się szkolenie mojego charakteru. Ojca ogromnie denerwował mój lęk przed ciemnością. Jego źródłem być może było to, że moja niańka w okresie mojego bardzo wczesnego dzieciństwa straszyla mnie karaluchem, który przetworzony w moim języku dziecięcym otrzymał nazwę „kajojka”. Do dziś zachowałem wyobrażenie wielkiego kosmatego stwora o owadzich łapach, czyhającego w kącie ciemnego pokoju. Aby zwalczyć mój lęk Ojciec wysyłał mnie wieczorami z różnymi poleceniami do nieoświetlonych pomieszczeń. Nie były to rozkazy wymuszone groźbą, ale oddziaływujące na moją ambicję pięcioletniego chłopca. Punktem kulminacyjnym było posłanie mnie o zmroku do pobliskiego sklepu. Wszedłem z domu z duszą na ramieniu i pędem puściłem się przed siebie. Po kilku minutach usłyszałem za sobą charakterystyczny sygnał, gwizdany przez mego Ojca, używany przez całą jego rodzinę. Wkrótce Ojciec dołączył do mnie i zakupów dokonaliśmy wspólnie.

Na przełamanie mojego lęku przed ciemnością wpłynęło również opowiadanie mojego przyjaciela Rikisziri Sawamoto. Otóż kadeci japońscy przed pójściem do szkół oficerskich byli poddawani różnym próbom. Jedną z nich był całonocny, samotny pobyt w opuszczonej, położonej poza siedzibami ludzkimi – świątyni. Zadaniem kadeta było odmówienie odpowiednich modlitw przed każdym z ołtarzy. W czasie tej wędrówki po świątyni rozlegały się różne niesamowite odgłosy. Na końcu drogi, na ostatnim ołtarzu leżała księga, w której poddawany próbie kadet musiał złożyć podpis, ba-

dany następnie przez grafologów. Sprawdzanie to wykrywało każde drgnięcie ręki, które z kolei świadczyło o stanie nerwów kadeta. Pozytywne wyniki otwierały drogę do dalszej kariery wojskowej.

Pozostało również wyryte głęboko w mojej pamięci opowiadanie mojego Ojca o zachowaniu się oficerów japońskich podczas ich powitania na dworcu kolejowym w Toruniu. W uroczystości tej po stronie polskiej brał udział kapitan Kaczyński, który stracił prawą rękę w walce z bolszewikami. Wszyscy oficerowie japońscy przywitani się z nim używając lewej ręki. Wśród Japończyków był również pilot o nazwisku Tanamasa Shimanuki, które to nazwisko oficerowie czwartego pułku lotniczego, stacjonującego w Toruniu, natychmiast spolonizowali na „Tadeusz Szymanowski”.

Japończycy byli bardzo serdecznie podejmowani przez Polaków, jakkolwiek robiono im najróżniejsze kawały; np. „Tadeusz Szymanowski” nigdy nie wiedział w kabinie samolotu czyjej jest on produkcji. Mechanicy wymieniali bowiem napisy informacyjne, występujące w różnych językach.

Po oficjalnych przyjęciach polskich, po oczekiwaniu kilku dni, w formie rewanżu Japończycy urządzili uroczysty obiad na który zaprosili polskich oficerów. Zanim podano pierwsze danie organizatorzy tego spotkania odśpiewali na stojąco pieśń o Polsce. Pieśń ta należała do obowiązkowego repertuaru japońskich podchorążych. Ułożył ją pewien major japoński, który przed 1905 r. – przejechał konno przez całą Europę. Będąc pod silnym wrażeniem ówczesnej sytuacji narodu polskiego ułożył on poemat w formie przestrogi dla swoich ziomków aby nie spotkał ich ten sam los.

Na tle tej pogodnej atmosfery, z żalem muszę jednak dodać, że los mojego japońskiego przyjaciela, Rikisziri Sawamoto okazał się tragiczny. Jeszcze bowiem przed wybuchem II Wojny Światowej, ów tak życzliwie i miło zachowujący się

młody człowiek popełnił harakiri. Przyczyną było – jak się dowiedziałem – wzniecenie puczu oficerów pod jego przewodnictwem, wywołanego złym traktowaniem wojskowych, młodszych rangą, przez generalicję. Pucz tego rodzaju był w armii japońskiej formą protestu, rozstrzyganego przez samego cesarza. W zależności od tego, komu cesarz przyznawał rację w zatargu, ten którego argumentów nie uznano popełniał harakiri. Niestety cesarz nie przyznał racji mojemu przyjacielowi.

Do dzisiejszego dnia przechowuję fotografię kapitana Rikishiri Sawamoto, wręczoną mojemu ojcu wraz z dedykacją napisaną po japońsku. Gdy Ojciec poprosił ofiarodawcę o przetłumaczenie tekstu otrzymał odpowiedź, że jego życzeniem jest by dokonał tego inny zaprzyjaźniony Japończyk. Taka okazja już się jednak w życiu mojego Ojca nie zdarzyła.

Ja natomiast w latach 60-tych spotkałem Japończyka, który po zapoznaniu się z tekstem, spytał się mnie kim był mój Ojciec, ponieważ zastosowana forma dedykacji jest używana w Japonii tylko w stosunku do bardzo czcigodnych osób, np. Ministrów. Mój Ojciec był wtedy majorem – szefem sztabu Centrum Wyszkożenia Artylerii w Toruniu. Po moim japońskim przyjacielu pozostała jeszcze jedna pamiątka; płaskorzeźba z laki, wyobrażającego mędrca japońskiego Darumę, opiekuna spraw domowych. Płaskorzeźba ta została umieszczona w naszym mieszkaniu w specjalnej szklanej szafce, zawieszanej na ścianie. Kilkakrotnie szafka ta otwierała się sama w dramatycznych okolicznościach rodzinnych, np., w momencie śmierci mojej Babci, Emilii Łosiowej. Aby uniknąć podobnych złowróżbnych znaków moja Matka zdjęła gablotkę z płaskorzeźbą Darumy ze ściany i schowała do szafy. Po latach, w moim pokoju w powojennym mieszkaniu w Warszawie Daruma znalazł znów swoje miejsce na ścianie,

ale już bez gablotki. Podobne miejsce znalazł następnie w pokoju jadalnym Lusi domu w Magdalence.

Mimo sprzeciwów mojego Ojca już od najmłodszych lat moje zainteresowanie wojskiem było ogromne. Zapytany: „Kim chciałbym być gdy dorosnę? – odpowiadałem bezapelacyjnie – wojskowym”. Doprowadzało to do pasji mojego Ojca – człowieka bardzo porywczego, którego tylko okres wojenny zmusił do podjęcia służby w wojsku i spowodował dalszą karierę zawodowego oficera. Swoje zamiłowanie udało mi się na tyle przeforsować, że w moim pokoju znalazł się cały arsenał zabawek militarnych, oraz mundur Ułana Jazdy Pomorskiej z czasów Księstwa Warszawskiego, uszyty specjalnie dla mnie, dostosowany do rozmiarów 6-letniego chłopca.

W jeden z zimowych poranków, w drodze do miasta, idąc z Matką spotkaliśmy generała Pricha – dowódcę Centrum Wyszkolenia Artylerii w Toruniu. Generał przywitał moją Matkę i wyciągnął rękę do mnie. Ja również wyciągnąłem prawą rękę na powitanie, lewą trzymając w kieszeni, co wzbudziło zdziwienie u generała. Zapytał mnie więc: „Cóż to za zwyczaj! Zamiast stanąć na baczność i zsalutować ty witasz się ze mną trzymając drugą rękę w kieszeni?”. Na tę uwagę odpowiedziałem, że nie muszę oddawać honorów wojskowych, bo jeszcze jestem cywilem. „Zgoda – stwierdził generał – ale jesteś synem oficera i jeżeli nie będziesz stosował się do zasady musztry to przyślę do ciebie wartownika, który cię zabierze do aresztu”. Moja reakcja była natychmiastowa: „Ja się nie boję wartownika mam w domu karabin i i szablę i będę się bronić”. „Ale ja jestem dowódcą Centrum Wyszkolenia Artylerii i dysponuję armatami – cóż ty zrobisz gdy wytoczę przez wasz dom armatę?” Poczulem się poważnie zagrożony i wobec braku argumentów zaczęło mi się zbierać na płacz. Drgającym głosem odpowiedziałem: „To Pana Genera-

ła Bozia skarże, że Pan na małe dzieci chce wytoczyć armatę”. Generał poczuł się pokonany, roześmiał się i serdecznie przytulił do siebie. Ja natomiast na pożegnanie wyciągnąłem lewą rękę z kieszeni.

Myślę, że ta historia tym bardziej utkwiała mi w pamięci, że generał Prich był ogromnie szanowany przez mojego Ojca. Syn austriackiego podoficera artylerii, od małego miał styczność ze swym przyszłym zawodem. Był Austriakiem, który szlify generalskie zdobył w czasie I Wojny Światowej. Z chwilą rozpadu Monarchii Austro-węgierskiej znając język polski zgłosił się do Armii Polskiej, w której został zatrudniony jako oficer kontraktowy. Z tego co wiem, był ogromnie ceniony przez Marszałka Piłsudskiego za swoją wiedzę, co spowodowało powierzenie mu szkolenia polskich artylerzystów. W czasie przewrotu majowego dowodził w obozie szkoleniowym w Rembertowie. Odmówił Piłsudskiemu wsparcia motywując to swoją pozycją oficera kontraktowego, nie podjął jednak żadnych kroków przeciwko Marszałkowi. Z kolei Piłsudski, po objęciu władzy, mianował go dowódcą Centrum Wyszkolenia Artylerii w Toruniu. Potwierdzeniem lojalności generała Pricha było jego zachowanie się w trakcie „oblawy” zorganizowanej na szpiega, działającego w Polsce na rzecz Niemiec. Aby nie być posądzonym o uleganie jakimkolwiek pochodzeniowym resentymentom odmówił on swego własnego udziału w tej sprawie, powierzając ją mojemu Ojcu, który występował w tym procesie jako biegły. Dowiedziałem się o tym od mojej Matki znacznie później. Na kilka miesięcy przed wrześniem 1939 r. ojciec natomiast powiedział mi w zaufaniu, że figuruje na liście szczególnie niebezpiecznych oficerów polskich, sporządzonej zarówno przez wywiad niemiecki jak i wywiad radziecki.

Wróćmy jednak do lat 30-tych. Miałem 6 lat, a mimo to w moich wspomnieniach świat przeżyć dziecięcych znajdu-

je się, jak gdyby na drugim planie ustępując miejsca wydarzeniom z życia dorosłych, a w szczególności, życia mojego Ojca.

Pragnę i o tych wrażeniach, związanych z moim wiekiem, napisać słów kilka. I tak dużym przeżyciem było dla mnie pójście do przedszkola Rodziny Wojskowej, które znajdowało się na terenie koszar. Chcąc się wkupić w środowisko koleżeńskie, które zastałem, zaproponowałem, że będę czytać głośno przygody Koziółka-Matołka. Moja propozycja została zaakceptowana przez wychowawczynię, nader zdziwioną jednak moimi możliwościami. Nazajutrz zrealizowałem moją obietnicę, wodząc palcem po wierszach umieszczonych pod poszczególnymi obrazkami. Zdradziła mnie moja Mama, odpowiadając na komplementy złożone przez wychowawczynię, że ja nie czytam tylko umiem tę moją ulubioną książkę na pamięć. Nie mniej, te moje pseudo-umiejętności spowodowały, że zawsze byłem wybierany do deklamowania wierszy na przedszkolnych uroczystościach. W trakcie jednego z przedstawień występowałem w moim mundurze Ułana Jazdy Pomorskiej Księstwa Warszawskiego. Wiersz mówiłem, siedząc na koniu na biegunach, i kołysząc się na nim. Krytycznym momentem mojego występu było wyciągnięcie szabli z pochwy. Połączenie deklamacji i towarzyszących jej czynności groziło bowiem tym, że występ skończy się kompromitującym upadkiem. Na szczęście tak się nie stało.

Nie wszystkie teksty wierszy czy pieśni były dla mnie zrozumiałe; i tak np. w trakcie porannego wspólnego śpiewu „kiedy ranne wstają zorze...”, ja wprowadziłem poprawkę wyśpiewując z przekonaniem „Tobie śpiewa żytwość szelki”. Wyraz „żytwość” pozostawał dla mnie nadal nie zrozumiały, ale szelki nosił Ojciec i posługiwał się również w przykrych dla mnie sytuacjach. Najczęstszą przyczyną tych wydarzeń był mój niesamowity upór. Świadczy o tym może moja cha-

rakterystyczna przygoda ze stołkiem w gabinecie Ojca. Siedzieliśmy zgodnie przy biurku, ja zajęty rysowaniem. Dwa służące nam stołki były jednak nierówne; jeden miękki, drugi twardy. Gdy Ojciec na chwilę wyszedł z pokoju, ja zamieniłem stołki na moją korzyść. Ponieważ odmówiłem zwrotu miękkiego taboretu, Ojciec wysłał mnie do kąta. Stojąc za szafą wystąpiłem z następującym przemówieniem: „Nie jestem już taki mały, aby mnie stawiać do kąta – ja przy tej wysokiej szafie wydaję się taki niski”. Ponieważ moja wypowiedź nie odniosła zamierzonego skutku ostrzegłem moich Rodziców, że napiszę do Babci Mili (Pani Emilii Łosiowej) jak źle jestem przez nich traktowany. Rozśmieszyło to moich „prześladców” i pozwolili mi wyjść z kąta. Ja jednak wróciwszy do gabinetu natychmiast przestawiłem taborety, zgodnie z moim postanowieniem. Skończyło się to karą cielesną, wykonaną, onymi, wspomnianymi już powyżej, szelkami. Gdy rodzice dyskutowali nad moim trudnym charakterem, ja, korzystając z ich nieuwagi, pobiegłem do gabinetu i ponownie usiadłem na upragnionym stołku. Zajęci rozmową oboje udali, że tego nie widzą.

W zasadzie Rodzice byli między sobą bardzo lojalni w zakresie mojego zachowania, jednak moja Matka znalazła, jej tylko właściwy, szczególny sposób przemawiania mi do „rozumku” – jak mówiła. Choć było to raczej przemawiania do uczucia. Argumenty, że moim zachowanie sprawiam Rodzicom przykrość, trafiały mi do przekonania i skłaniały do poprawy. Bardzo ich oboje kochałem.

Razem z Rodzicami uczęszczałem na konkursy hipiczne, podczas których nauczyłem się – jak prawdziwy amator – podnosić kolano gdy znajomy nam jeździec brał przeszkodę. Na zawody wyjeżdżaliśmy również do innych miast, zwłaszcza do Bydgoszczy, gdzie zatrzymywaliśmy się u serdecznego przyjaciela mego Ojca z czasów wojennych, wówczas

u kapitana Aleksandra Krzyżanowskiego, późniejszego gen, „Wilka”, bohaterskiego dowódcy Okręgów Wileńskiego i Nowogródzkiego Armii Krajowej.

Stosunki między naszymi domami były tak bliskie i serdeczne, że córeczka Państwa Krzyżanowskich, ukochana Oleńka (Olga Wilk-Krzyżanowska, Wicemarszałek Sejmu R.P. ukonstytuowanego w wyniku pierwszych wolnych wyborów po okresie rządów PRL), była podawana do chrztu w tym samym co i ja – beciku.

Aleksander Krzyżanowski odegrał zasadniczą rolę w moim życiu, decydując o moim udziale w działalności konspiracyjnej w okresie II Wojny Światowej.

Lata mojego pobytu w Toruniu zbiegły się z czasem kryzysu gospodarczego w Polsce. Trudności te nie odbiły się bezpośrednio na poziomie życia moich Rodziców. Zapamiętałem jednak epizody, które na tyle silnie przeżyłem, że wpłynęły na późniejsze ukształtowanie się moich odczuć społecznych. Spróbuję opisać trzy takie sytuacje.

Staliśmy w grupie dzieci rodzin wojskowych za płotem odgradzającym nasze budynki mieszkalne od ulicy. Z drugiej strony pojawiła się grupa dzieci – obdartusów. Ktoś z nas zaczął przedrzeźniać i naśmiewać się z tej biedoty. Wtedy jeden z „nich” rzucił poprzez sztachtę płotu, kawałkiem pręta metalowego, który trafił mnie w głowę. Zalałem się krwią i zostałem doprowadzony do domu. Rodzice przerazili się moim wyglądem, ale po wprawnym opatrzeniu rany przez moją Matkę (która pełniła funkcję pielęgniarki w czasie wojny z bolszewikami) otrzymałem przestrozę. A ślad tego uderzenia do dziś mam jeszcze na głowie.

Wracając kiedyś powozem z majówki zabłądziliśmy wybierając drogę wiodącą przez stare forty zamieszkałe przez bezdomnych. Zaskoczone naszym pojazdem, rzadko pojawiającym się w tej okolicy, bawiące się dzieci obrzuciły nas

kamieniami. Byłem ogromnie oburzony tym zachowaniem i zadziwiła mnie umiarkowana reakcja mojego Ojca. Otrzymałem wówczas wyjaśnienie, że cierpienie niedostatku w dużej mierze usprawiedliwia taką napastliwość.

A oto trzecia sytuacja. Była odwilż, było ślisko. Szedłem z Rodzicami nad wykopem kolejowym, kierując się do centrum Torunia. Przy barierze stał zapłakany chłopczyk, pochylony nad bańką z której wylała się zupa. Rodzice zatrzymali się próbując rozpocząć z nim rozmowę. Chłopczyk jednak tak łkał, że nie mógł zdobyć się na odpowiedź. Wówczas Ojciec pogłaskał go po głowie i wręczył mu 5 złotych – by mógł kupić obiad dla całej rodziny, dla której prawdopodobnie niósł supę otrzymaną w garkuchni dla bezrobotnych.

Współczucie dla mojego równolatka towarzyszy mi przez całe życie do dnia dzisiejszego i wdzięczny jestem Ojcu za to co uczynił.

Pod koniec 1934 r. Rodzice moi otrzymali mieszkanie w budynku wojskowym usytuowanym za pomnikiem Marszałka Piłsudskiego, przy placu, na którym stał Kościół Garnizony. Mimo niepozornego wyglądu zewnętrzny mieszkanie to było bardzo piękne i pełne słońca. Mieszkaliśmy w nim razem z moją Babcią Milą. Otrzymałem zadanie opiekowania się Nią. Było to tym bardziej uzasadnione, że Babcia Mila miała mocno przytępiony słuch. Byłem bardzo przejęty swoją rolą, zwłaszcza podczas wspólnych spacerów po mieście, ponieważ to ja czułem się odpowiedzialny za właściwe przechodzenie przez ulicę.

Duże mieszkanie ułatwiało organizowanie większych spotkań rodzinnych i zapraszanie krewnych. I tak gościł u nas Władysław Łoś – rodzony brat mojej Matki, major W.P., a mój Ojciec chrzestny. Wuj ten ogromnie mi imponował między innymi dlatego, że był ciężko ranny w czasie I Wojny Światowej. Na swoje nieszczęście przeżywałem wówczas okres

dużej płaczliwości. Ojciec z Wujem Władkiem postanowili mnie z tego wyleczyć i wpadli na pomysł, aby grać ze mną w „salonowca”. Na równi z moimi dorosłymi partnerami, wystawiałem więc swoją pupinę, aby po otrzymaniu klapsa odgadnąć, kto był jego sprawcą. Otrzymywane razy były dla mnie nie łatwe do zniesienia, ale duma nie pozwalała mi na płacz. Z podziwem i nieukrywaną radością patrzyłem na zmagania się dorosłych. Tak kształtowano moją osobowość. Płacz i litość minęły bezpowrotnie potwierdzając celowość wybranej metody.

Wśród krewnych dłużej przebywających w naszym domu był również Stanisław Pękalski, świetny malarz, późniejszy Profesor Akademii Sztuk Plastycznych w powojennym Wrocławiu, twórca (z udziałem jego żony Krystyny) wielu kościelnych witraży. Z pożogi wojennej zachował się namalowany przez niego mój dziecienny portrecik.

Ojciec mój był domatorem, a duże mieszkanie umożliwiało gromadzenie obrazów współczesnych malarzy i antyków. Odwiedzaliśmy wystawy malarskie, a z kolei u nas bywali artyści z grupy toruńskiej, zwanej „Konfraternią”. Zapamiętałem nazwisko Dana Jaroszyńskiego, którego 2 obrazy mam do dzisiaj. Właśnie jemu Rodzice powierzyli konserwację dwóch pamiątek rodzinnych: obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, namalowany przez przodka mojej Matki, namalowany w 1812 r. uległ osmaleniu w czasie pożaru kaplicy dworskiej. Drewniany świętek, przedstawiający Św. Stanisława – Biskupa wskrzeszającego Piotrowina, należący do Rodziny mojego Ojca, po usunięciu złotej warstwy, która go pokrywała, został przywrócony do pierwotnego kolorytu.

Odwiedzanie antykwariatów należało do rytuału rodzinnego. I tak w czasie jednego z wyjazdów do Jarosławia dokonaliśmy zakupów świeczników ozdobionych orłami

z czasów Królestwa Kongresowego. Towarzyszyło temu zabawne zdarzenie; w trakcie targowania się z właścicielami sklepu, którzy byli Żydami, w pewnej chwili, narada w sprawie ewentualnego obniżenia ceny zaczęła odbywać się w języku jidysz. Jakież było zdziwienie dyskutujących, gdy i mój Ojciec również włączył się do tej rozmowy, w tym przeważnie nieznanym Polakom języku. Wtedy właśnie usłyszałem okrzyk, często od tej pory wspominany w naszej rodzinie: „Uj, to Pan major jest też z naszych!”. Pan major wprawdzie nie był „z naszych” ale znajomość języka jidysz nabyta w czasie służby w Legionach ułatwiła dokonanie transakcji. W baterii 1-go Pułku Artylerii Legionowej służyli bowiem również żołnierze żydowskiego pochodzenia, z którymi mój Ojciec często przebywał na punkcie obserwacyjnym.

Jak kilkakrotnie podkreślałem, moje lata dziecięce upływały głównie w towarzystwie dorosłych, miałem jednakże, już jako 7-letni chłopiec, swojego serdecznego przyjaciela. Był nim Marek Bolo, również syn oficera. Bawiliśmy się razem w ogródku przylegającym do naszego domu. Żaden incydent nigdy nie zakłócił naszej zabawy – i to może jest powodem, że jego obraz powiązany z marynarską czapeczką spod której wysuwają się jasne loki – tak głęboko utkwiał w mojej pamięci. Dalsze losy Marka nie są mi znane, czułem się jednak w obowiązku by o tej mojej pierwszej przyjaźni wspomnieć.

Tak beztrudno płynęło moje życie, a tym czasem w Polsce działały się rzeczy ważne.

Rano 13 maja 1935 r. obudziło mnie ogromne poruszenie w domu, wywołane wiadomością o śmierci Marszałka Piłsudskiego. Wkrótce wyjechaliśmy do Warszawy na uroczystości pogrzebowe. Zamieszkaliśmy u Kazimierza Słowikowskiego, brata mojego Ojca, i jego żony Zofii w mieszkaniu

przy ulicy Filtrowej. Tłumy odwiedzające Katedrę, w której znajdowała się trumna Marszałka były tak liczne, że chcąc mi umożliwić uczestniczenie w tym ogólnie narodowym hołdzie, rodzice zbudzili mnie już o 3-ciej godzinie. Zapamiętałem ciemne wnętrza Katedry obite kirem i trumnę na wysokim katafalku - obok straż honorowa. Mój Ojciec miał również wyznaczoną wartę następnego dnia. Mimo wczesnego wyjścia z domu nie mógł jednak przedrzeć się przez tłumy i dopiero prośba o umożliwienie mu wypełnienia służbowego obowiązku, odniosła skutek. Ludzie zaczęli się rozstępować...

Pogrzeb oglądałem z okien tzw. „Domu bez kantów” przy Krakowskim Przedmieściu. Nie płakałem, ale pamiętam to chłopięce ściśnięte serce moje. „Ostatniej rewii” nie widziałem – brał w niej udział mój Ojciec. Z balkonu przy ulicy Filtrowej, śledziłem natomiast przejazd pociągu przewożącego trumnę Marszałka do Krakowa. Pamiętam, że wartę przy niej pełnili generałowie. Lora, na której stała trumna była cała w kwiatach. Co zrobiło na mnie największe wrażenie? Chyba ta przejmująca powaga milczącego tłumu. To odczucie było tak spontaniczne, że nie wymagało żadnych wyjaśnień ze strony rodziców.

Wkrótce po powrocie do Torunia, dowiedziałem się, że mój Ojciec będzie służbowo przeniesiony do Grudziądza na stanowisko dowódcy I-go Dywizjonu Pułku Artylerii Lekkiej. Takie przeniesienie należało do normalnego toku kariery oficera dyplomowanego.

Środowisko toruńskie żegnało nas bardzo uroczyście. Pamiętam dużo osób na dworcu i dużo kwiatów. Toruńskie przyjaźnie przetrwały nawet II Wojnę Światową. Moja Matka w 1945 r. po tzw. „repatriacji” z Wilna, znalazła schronienie u Pani Janiny, żony kapitana Wilantowicza, który podobnie jak mój Ojciec zginął w Starobielsku.

Przebiegając raz jeszcze myślą lata spędzone w Toruniu pragnę podkreślić jak wielką wartość w owych czasach stanowiło wojsko – symbol niepodległości i bezpieczeństwa. Oto kilka świadczących o tym zdarzeń.

Gdy stałem w grupie osób patrzących z przerażeniem na płonące przedmieścia Chełmińskie w pewnym momencie wyjechała z pobliskich koszar wojskowa straż ogniowa. Wtedy ktoś z tłumu zawołał z głębokim przekonaniem, które udzieliło się wszystkim: „Jeżeli wojsko wyjechało do pożaru to na pewno go ugasi!”.

My, dzieci oficerów mieszkających w Toruniu odczuwaliśmy pewne poczucie zagrożenia ze strony Niemców, których język często można było słyszeć na ulicach. „Podwórko” nienawidziło Niemców, co mnie się udzielało, mimo że moi rodzice bynajmniej nie starali się zaszczepiać tej wrogości. Ile razy idąc z Matką do centrum Torunia mijał nas pociąg tranzytowy jadący z Niemiec do Prus Wschodnich odczuwałem wrogość tego faktu, a podróżując kiedyś z rodzicami w mieszanym polsko-niemieckim wagonie zrobiłem awanturę, dla czego wszyscy jadący nie mówią tylko po polsku. Poczucie pełnego bezpieczeństwa odnajdywałem dopiero patrząc na ćwiczących na polu przed koszarami podchorążych artylerii.

Pamiętam jak jeden z nich uległ wypadkowi. Jaszcz artyleryjski przejechał mu przez stopę. Okaleczony wstał nie dał się wziąć na nosze i wspierany przez kolegów poszedł kulając w kierunku koszar. – Pamiętaj – powiedziała wówczas moja Matka – abyś był równie dzielny.

Smutną okolicznością związaną z lokalizacją naszego mieszkania była bliskość cmentarza wojskowego. Głęboko przeżywałem pogrzeby ginących w wypadkach lotników, których trumny wiezione były na kadłubach samolotów, stając się dla mnie, 7-letniego chłopca, jednoznacznym dowodem bezgranicznego poświęcenia dla ojczyzny.

Pobyty w Grudziądzu

Dywizjon w Grudziądzu, który w 1935 r. objął mój Ojciec miał niezależne koszary. Całą trójką poczuliśmy się odpowiedzialni za najlepsze ich zagospodarowanie. Lubilem z Ojcem sprawdzać smak żołnierskich obiadów, zwiedzać stajnie i przyglądać się ćwiczeniom.

Jednym z najbardziej zabawnych momentów była nauka jazdy konnej dla rekrutów. Pierwsza próba odbywała się na oklep na bardzo spokojnym koniu, który krążył dokoła ujeżdżalni uwiązany na tzw. „lonży”. Drugi koniec trzymał w rękę Podchorąży bacznie obserwując jeźdźca i udzielając ostrym głosem instrukcji. Otóż jednym z delikwentów był rosty, dobrze się prezentujący Żyd. Dosiadał on konia po raz pierwszy w życiu a rumak widocznie czując to nie chciał w ogóle ruszyć z miejsca. Posypały się rozkazy: „ściśnijcie konia kolanami, uderzcie go piętami”. A wtedy odezwał się niepewny głos: „Panie Podchorąży – a może ten koń jest zmęczony, może on jest głodny, może on już chce do stajni, po co to biedne bydle męczyć?”. „Rumak” w dalszym ciągu stał w miejscu a gdy jeden z podoficerów odpiął pas, aby go uderzyć, zaniepokojony jeździec ponownie zawołał: „Panie Podchorąży po co bić to biedne niewinne zwierzę?”. Nagle koń jednak ruszył klusem, a nieszczęsny jeździec trząsł się na nim jak worek z kartoflami, przesuwał się stopniowo, w miarę jazdy, ku zadowi konia. I oto w pewnym momencie rozległ się dramatyczny okrzyk: „Panie Podchorąży koń mi się kończy!”.

Wkrótce rekrut ten stał się dzielnym kanonierem, ogólnie lubianym, ze względu na swoje wesołe usposobienie. A ilekroć go spotykałem, wymienialiśmy uśmiechy, ponieważ obaj pamiętaliśmy przygody w czasie pierwszej jazdy konnej.

Ojciec nie tylko z ogromną energią zabrał się do szkolenia dywizjonu, ale również zajął się organizacją życia codziennego żołnierzy. Znaczącym posunięciem była zamiana jednej ujeżdżalni na ogród, w którym każda bateria miała wydzielony teren do uprawy. Zostało posadzonych wiele drzewek i wytyczono aleje. Niespodzianką dla mojego Ojca było pojawienie się w środku ogrodu postumentu na którym umieszczony został zapalnik od pocisku artyleryjskiego z napisem: „Zapalnik z łysą główką”. Otóż mój Ojciec odznaczał się zarówno łysiną jak i bardzo porywczym charakterem, a zwracając uwagę swoim podkomendnym wybuchał jak pocisk artyleryjski. Pamiętam również, że cały ogród został nazwany Parkiem Edwarda – to jest imieniem mojego Ojca.

Jednym z często stosowanych ćwiczeń wojskowych były alarmy nocne z elementem zaskoczenia. Pewnego razu udało mi się wykryć, że żołnierze zawczasu zdobyli tę informację i rozpoczęli przygotowanie dział. Zameldowałem o tym mojemu Ojcu, a potem z podziwem obserwowałem jak sprawnie – na jego polecenie – przeprowadzone zostało natychmiastowe oczyszczenie placu broni.

Dużym wydarzeniem było zdobycie przez nasz dywizjon buńczuka w zawodach organizowanych dla Okręgu Korpusu, po którym odbyły się pokazy. Bardzo dobrze pamiętam sprawnie zajeżdżający działon przed oddaniem strzału. Ukoronowaniem moich wojskowych przeżyć z Grudziądza była jednak defilada garnizonu przed Prezydentem Ignacym Mościckim; wspaniale prezentujące się formacje z Centrum Wyszkoła Kawalerii i galopem przejeżdżająca przed trybuną artyleria lekka.

Główną cechą mojego Ojca – jako dowódcy – poza jego wybuchowością było to, że nie znosił tak zwanego „cukania” – to znaczy znęcania się nad żołnierzem. Dowiedziałem się, że kiedyś cofnął karę polegającą na całonocnym chodze-

niu wraz z koniem po koszarach – za ostrą, jego zdaniem, i dla żołnierza i dla konia. Był jednak równocześnie bardzo wymagający; gdy jeden z żołnierzy uradowany wygranym w zawodach zegarkiem – zostawił przywiązanego do barier, szarpiącego się konia i odszedł by pochwalić się przed kolegami – został ukarany jednodniowym aresztem. Będąc tak głęboko wciągnięty w nurt życia dywizjonu oddałem niektóre moje zabawki, aby na mini poligonie posłużyły jako obiekty do pozorowanego strzelania.

W czasie rocznego pobytu w Grudziądzu zaszły pewne zmiany w moim codziennym życiu. Zjawił się w naszym domu pies i to nie byle jaki. Niemiecki dog, imieniem „Dar”, miał strzec nas przed złodziejami, a jak się okazało mnie również ratował z opresji w niejednej rodzinnej sytuacji, warcząc gdy ktoś podnosił na mnie głos i odsuwając łapą „agresora”. Ja z kolei próbowałem go pocieszać, przytulając się do niego na słomiance, gdy „Dar” oberwał za jakieś przewinienie.

Po Ojcu odziedziczyłem zdolności muzyczne, ale upragniony fortepian został zakupiony dopiero po obejrzeniu niemieckiego filmu o Szopenie. W czasie koncertu odbywającego się w Dreźnie na klawiaturze pojawiają się żołnierze – powstańcy, wywołani dźwiękami improwizowanej Etiudy Rewolucyjnej.

W Grudziądzu, mając 7 lat, zacząłem uczęszczać, od razu, ze względu na mój stopień przygotowania, do 2-giego oddziału szkoły powszechnej, która jednak, wbrew nazwie miała charakter elitarny. Nosiliśmy mundurki tym samym narażając się na niechęć tzw. „uliczników”. Do szkoły tej uczęszczało wiele dzieci z rodzin żydowskich (pamiętam do dziś śliczną Ewę), co jednak nie tworzyło żadnej barier pochodzeniowych. Odwiedzanie żydowskich domów i zaprzyjaźnianie się z żydowskimi kolegami i koleżankami nie budziło żadnych wątpliwości.

Wspominałem już na poprzednich stronach jak bardzo związany byłem uczuciowo z moją Babką Po dwu miesiącach niedomagania w czasie których często byłem przy Niej starając się Ją rozweselić – na 3 dni przed śmiercią nastąpiło tradycyjne, uroczyste i w pełni świadome pożegnanie z rodziną. Złoty krzyżyk na łańcuszku został przekazany mojej Matce, a dziś po Jej śmierci jest w posiadaniu mojej ciotecznej siostry Ewy Łoś-Jankowskiej. Moja Babcia została pochowana w Krakowie, na cmentarzu Rakowickim.

W czasie pogrzebu moja Matka zaśląbla. Był to pierwszy objaw anginy pectoris, która to choroba nękała ją odtąd przez całe życie. Cały dzień czuwałem przy Jej łóżku. Moja Matka opowiadała mi, że w pewnym momencie miała poczucie zapadania się w studnię i tylko mój głos: „Mamo nie umieraj, Mamo nie umieraj” spowodował, że całym wysiłkiem woli przezwyciężyła ten stan.

W czasie pobytu w Krakowie wraz z Ojcem udałem się do katedry wawelskiej aby złożyć hołd Piłsudskiemu, a później w większym gronie rodzinnym pojechaliśmy na Sowiniec, by wziąć udział w sypaniu kopca ku czci Marszałka.

Na wakacje 1936r wyjechaliśmy do Finlandii, zaproszeni przez mojego wuja Władysława Łosia, który w Helsinkach pełnił funkcję attaché militaire w polskim poselstwie. W czasie podróży przeżyliśmy ogromny sztorm w Zatoce Fińskiej. A wszystko z tego powodu – jak zganił mnie mój Ojciec – że zagwizdałem przy wypływaniu statku z portu, czego zabrania marynarski obyczaj. Przez długi czas opierałem się morskiej chorobie, ale w końcu jej uległem. Postawił mnie na nogi kieliszek koniaku, który pozwolono mi wypić po przyjeździe do Helsinek.

Nasz pobyt w Finlandii odbywał się w sytuacji uprzywilejowanej. Na stoliku w restauracjach zjawiał się z reguły polski proporczyk. Czułem, że w pewnym sensie reprezentuję

Polskę – co zobowiązuje. Zebrane jednocześnie obserwacje pozostały w mojej pamięci w powiązaniu z polską historią i ówczesnym obrazem mojego kraju. Już przekraczając granicę polsko-łotewską mój Ojciec wspominał swój udział w walkach z bolszewikami o oswobodzenie Łotwy. Mimo mojego dziecięcego przecież wieku miałem już świadomość ogromnego znaczenia zwycięstw Wojsk Polskich w 1920 roku dla całego regionu bałtyckiego.

W Finlandii spotykaliśmy się na każdym kroku z przyjaznym stosunkiem do Polski – ale przy dominancie wpływów niemieckich, czego dowodem była między innymi nauka tego języka już w szkołach podstawowych. Złowrogie wrażenie zrobiła na mnie wizyta niemieckiego krążownika „Koenigsberg”, któremu towarzyszył nowoczesny statek pasażerski „Ostpreussen”. W tym okresie polska dyplomacja zabiegała o względy krajów bałtyckich co miało wyraz w nawiązaniu kontaktów wojskowych. Co prawda najbliższa przyszłość wykazała wyższość propagandy niemieckiej, nie mniej przyjaźń polsko-fińska przetrwała w formie pomocy udzielanej Polakom przedostającym się do Anglii i Francji na początku II Wojny Światowej.

Wróćmy jednak do wspomnień. Wyjeżdżałem do Finlandii z poczuciem, że kraj ten jest znacznie mniej liczny, mniej znaczący i uboższy od Polski. Tym bardziej podziwiałem objawy gospodarności Finów, np. zaplanowanie dróg z zaoszczędzeniem każdego skrawka ziemi uprawnej, czystość, porządek i uczciwość. Zapamiętałem obraz przedstawiający leżącego na skale zmarłego – jak można się domyślać, z głodu, mężczyzny przy którym klęczy kobieta wznosząc do nieba rękę w geście pełnym rozpacz. Obok leży kamień w formie takim trudem zdobywanego bochenka chleba.

Duże wrażenie wywarła na mnie duża liczba pomników, wyrażających kult ludzkiego ciała, jak np. „Havis Amanda” –

kochanka portu i „Rozbitkowie” przedstawiający grupę ludzi na tonącym okręcie.

Narzeczoną mojego Wujka była piękna Saga Sylvin pochodząca z rodziny szwedzkiej od dawna osiadłej w Finlandii. W ten sposób spotkałem się ze współzyciem dwu narodów w jednym państwie i rolą inteligencji szwedzkiej w historii tego kraju.

Krótki wyjazd do Sztokholmu umożliwił mi zapoznanie się z dwoma królami szwedzkimi, jednym Karolem – Gustawem, stojącym na pomniku (opisanym przez Sienkiewicza w „Potopie”) i drugim – aktualnie panującym. Z pierwszym - spotkanie było nieprzychylne. Na cokole pomnika napisano bowiem nazwy miast, które zdobył, a wśród nich – Warszawę i Kraków. Pocięchą stało się dopiero, znajdująca się w gablocie muzealnej peruka, którą oglądając krzyknąłem: „Ach to ta peruka którą Karol Gustaw zgubił, gdy go Roch Kowalski gonił”. Panującego Króla pozdrowiliśmy „pokojowo” gdy bez żadnej obstawy przejeżdżał przez dziedziniec zwiedzanego przez nas zamku. Król się nam bardzo grzecznie pokłonił.

Wróciliśmy do Gdyni statkiem polskim o nazwie „Cieszyn”. Na jesieni 1936 r. mój Ojciec otrzymał przeniesienie do Wilna.

Pobyty w Wilnie

Mego Ojca, wówczas majora dyplomowanego artylerii, przeniesiono z Grudziądza do Wilna, na stanowisko III-go, a wkrótce – II-go oficera Sztabu, Inspektoratu Armii.

W Wilnie mieszkaliśmy w domu Prof. Mariana Zdziechowskiego, który był bliskim przyjacielem ojca mojej Matki, Jana Łosia z okresu wspólnego przebywania w St. Petersburgu. Najstarszy syn Profesora był sympatią mojej Matki, przed pierwszą Wojną Światową. Wielkim przeżyciem dla niej było

samobójstwo tego młodego człowieka wywołane, jak można się domyślić, względami polityczno-rodzinnymi. Sam profesor był związany z prorosyjską orientacją Narodowej Demokracji, podczas gdy jego syn włączył się do Ruchu Strzeleckiego Józefa Piłsudskiego. Opisuję to wydarzenie, aby podkreślić, jak dramatyczne w skutkach były podziały polityczne ówczesnego społeczeństwa polskiego.

Rodzina Zdziechowskich miała liczne majątki, stąd dom profesora miał wiele cech wiejskich. W przybudówce mieściły się stajnia i wozownia, zaś na podwórku znajdowała się kryta słomianą strzechą ziemna lodówka, w której składowano zimną bloki lodu wydobywane z nieopodal płynącej Wilii. O pewnej egzotyce tego środowiska świadczy przygoda z wilkiem, który urywając się nieraz z łańcucha w sąsiedniej posesji biegał po przylegającym do naszego podwórka ogrodzie. Zastanawiał mnie zawsze ogromny lęk naszego doganemieckiego „Dara” przed tym oswojonym wilkiem, który zachował jednak dziki wyraz oczu, o którym się sam przekonałem – ponieważ zawsze próbowałem zaprzyjaźnić się z napotkanymi zwierzętami.

Znalazłem się w Mieście, z którym czuję się do dzisiaj związany. W swoim dzieciństwie zmieniałem nie tylko miejsce zamieszkania ale i „podwórka” co powodowało konieczność ciągłego starania się o akceptację w nowych grupach dziecięcych.

W Wilnie początki były szczególnie trudne ze względu na różnice gwarowe pomiędzy „podwórkiem pomorskim” i „podwórkiem wileńskim”. W szkole powszechnej na Antokolu, do której mnie moja Matka zapisała, obowiązywała zasada strzyżenia włosów do skóry. Ja jednak na prośbę moich rodziców utrzymałem swoją czuprynę, co z kolei stało się przyczyną potraktowania mnie przez kolegów jako „obcego”. W rezultacie, za poradą nauczycielki, zostałem przeniesiony

do szkoły Rodziny Wojskowej, która mieściła się na ulicy Mickiewicza, w znacznej odległości od naszego mieszkania. Dojeżdżałem więc dwoma autobusami co wymagało ode mnie dużej samodzielności. Otóż często wykorzystywałem tę sytuację w celach zarobkowych, oszczędzając na bilecie i chodząc piechotą aby w ten sposób móc zebrać pieniądze na zakup ukochanych ołowianych żołnierzy.

W kompletowaniu mojej kolekcji byłem bardzo „postępowy”. W rok później dysponowałem już armią, posiadającą jednostki zmotoryzowane i lotnictwo. Konieczność unowocześnienia wojska podkreślał często mój Ojciec. Szkoła do której uczęszczałem kładła duży nacisk na poczucie odpowiedzialności za losy Ojczyzny, ale bez wprowadzania elementu zagrożenia. Samo miasto mimo różnorodności wyznaniowej i narodowościowej było bardzo spokojne i charakteryzował je klimat wzajemnej życzliwości. W zasadzie nic nie zapowiadało nadchodzącej burzy.

O Litwinach przed wojną wiedziałem tylko to, że mają swoją parafię, natomiast nigdy się z nimi nie zetknąłem. Tradycja Wilna jako stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego była powszechnie podkreślana i odczuwana, ale w konwencji Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Zaistniały kordon pomiędzy Litwą Kowieńską i Wileńszczyzną był dla mnie tym bardziej niezrozumiały.

Mój Ojciec dysponował dużą biblioteką zawierającą książki poświęcone polskim powstaniom narodowym. Często zapadając na zdrowiu, w czasie przymusowego pobytu w domu zaglądałem do tej literatury. Tak obudziły się moje zainteresowania historią, wzbogacane rozmową z rodzicami. W kanwę zdarzeń i zrywów narodowych włączyły się bowiem wątki rodzinne związane z kolejnymi powstaniem. Szczególnie zafrapowała mnie zmiana nazwiska rodzinnego mojej Matki (nazwisko „Łoś” zostało zmienione na „Bielic-

ki”) wywołana prześladowaniami za udział w Konfederacji Barskiej i przygotowania do Powstania Kościuszkowskiego. Dzięki dużej pomocy ze strony rodziny Trzebskich rodzina mojej Matki przeniosła się z Ukrainy w okolice Opoczna. Powrót do autentycznego nazwiska nastąpił dopiero w drugiej połowie XIX wieku po tzw. procesie iliacyjnym.

Mając 9 lat wiele czasu poświęcałem opisom działań wojennych, nic więc dziwnego, że doszło do następującego zdarzenia: zimą 1937/38 Ojciec mój będąc III-im oficerem sztabu w Inspektoracie Armii w Wilnie, kierowanym przez gen. Stefana Dąb-Biernackiego, całe noce spędzał w swym wojskowym biurze, a następnie – w efekcie protestów mojej Matki – tę tajemniczą pracę kontynuował wieczorami w domu, w pokoju jadalnym. Aby uniemożliwić mój wgląd w rozłożone na stole papiery musiałem zacząć chodzić wcześniej spać. Jednego wieczoru jednak nie wytrzymałem i w piżamie wpadłem do zakazanego pokoju. A ujrawszy na stole rozłożoną na stole dużą mapę Litwy wykrzyknąłem: „A więc Tato, zajmujemy Litwę!”. „Skoro już tak myślisz – to powiedz ja byś to zrobił?” odpowiedział spokojnie Ojciec. Pochyliłem się nad mapą i po krótkim namyśle wskazałem kierunek uderzenia z rejonu Suwałk na Kowno, w celu odcięcia jednej trzeciej Litwy – a następnie marsz na Połagę. Ojciec mój uśmiechnął się i stwierdził: „Dobrze, ale uderzenie na Kowno wystarczy”. Oczywiście o całym tym spotkaniu nie pisałem nikomu słowa, zdając sobie sprawę, że rozmowa ta dotyczyła tajemnicy wojskowej.

W marcu 1938 r. garnizon wileński stanął na granicy litewskiej, co całe miasto przyjęło z wielkim entuzjazmem. Jak wiadomo, powodem polskiego Ultimatum było zabicie przez straż litewską polskiego żołnierza z Korpusu Ochrony Pogranicza. W efekcie owego Ultimatum zostały jednak unormowane stosunki polsko-litewskie – kordon został zniesiony.

Uroczyście wszyscy witaliśmy powracające wojsko. Z dużym wzruszeniem wysłuchałem przemawiającego przez radio po polsku oficera armii litewskiej, któremu, w języku litewskim, odpowiadał w przyjaznym tonie oficer polski.

Kilkadziesiąt lat później dowiedziałem się, że byli to rodzeni bracia.

Znaczącym wydarzeniem, które również dobrze pamiętam, był przyjazd do Wilna pierwszego pociągu z Kowna. Wydawało się, że istotnie nastąpiło pojednanie obu Państw, co między innymi zaowocowało serdeczną pomocą udzieloną spontanicznie przez Litwinów Polakom uciekającym w 1939 r. przed Armią Radziecką.

Wszystkie wydarzenia polityczne przeżywałem wraz z moimi rodzicami i szkolnymi kolegami. Pamiętam niektóre zajmowane przez nas postawy np. w trakcie wojny domowej w Hiszpanii byliśmy po stronie Franca. Natomiast sprzyjaliśmy Abisyńczykom podbijanym przez Włochów. Stosunek do ZSRR był jednoznacznie wrogi, potęgowany przez wspomnienie uczestników Rewolucji Październikowej i walk z Bolszewikami w latach 1919/20. Dlatego też ideologia komunistów (np. grupy Dębińskiego) była dla mnie szokująca.

A przecież byliśmy tolerancyjni, czego dowodem był m.in. nasz stosunek do Władysława Broniewskiego, kuzyna mojej Matki, od którego, mimo jego lewicowych przekonań, nikt z naszej rodziny się nie odżegnywał.

Te kilka informacji niech posłużą do stwierdzenia, że kształtowanie się mojego światopoglądu odbywało się w nader skomplikowanych warunkach. Wrogi w stosunku do komunizmu nie utraciłem swej wrażliwości na sprawy społeczne.

Rodzice moi nie ingerowali w dobór moich kolegów i koleżanek, stąd przez mój pokój przewijali się uczniowie ze Szkoły Rodziny Wojskowej, jak również moi rówieśni-

cy ze wszystkich pięter i suteryn zamieszkanego przez nas domu. W tym okresie zaprzyjaźniłem się również z dziećmi naszej służącej Oli – młodymi Stankiewiczami. Rodzina ta odegrała bardzo pomocną rolę w dziejach wojennych naszej rodziny.

Jako młody chłopiec, żyjący w czasach pokojowych, muszę przyznać, że nie przestawałem marzyć o przygodach wojennych, których mi życie miało w nadmiarze dostarczyć. Miałem ambicje być dzielny i świecić przykładem innym. „Syn oficera musi być odważny” – powtarzał mój Ojciec.

Opowieści służących profesora Zdziechowskiego roily się od duchów, z których jeden, moim zdaniem, odwiedzał nasze mieszkanie. Zdarzało się to wówczas, gdy sam wieczorem pozostawałem w domu. Pewnego razu, gdy położyłem się spać, usłyszałem skrzypienie podłogi w sąsiednim salonie. Ten „ktoś” zatrzymywał się przed moimi drzwiami. Nie zdzierżyłem i ze strachu uciekłem do oświetlonej kuchni, w której zająłem pozycję obronną ze szczotką od podłogi w rękę. Zawstydzony swoim zachowaniem się, ruszyłem do natarcia – „bagnet na broń” – docierając ponownie do łóżka. Duch wyraźnie cofnął się, co odczułem jako swoje zwycięstwo. Jedynym śladem wydarzenia była szczotka kuchenna pozostawiona w moim pokoju ku zdziwieniu domowników.

Po drugiej stronie ulicy Antokolskiej, naprzeciwko naszego domu, mieścił się sklep zegarmistrza, który równocześnie prowadził antykwariat. Był to ortodoksyjny Żyd o wyglądzie biblijnego patriarchy – Pan Poczter. Często wraz z Ojcem prowadziliśmy z nim długie rozmowy. Ta nawiązana przyjaźń sprawdziła się w pierwszym okresie wojny.

Przepiękne okolice Wilna poznawałem w czasie wakacji. Szczególnie utkwił mnie w pamięci pobyt w majątku Messyna, ponieważ brałem tam udział w rytmie wiejskiego życia. Liczącym się dla mnie osiągnięciem było złowienie dwu ryb

na po raz pierwszy rzuconą wędkę. Działo się to, pamiętam, nad jeziorem Baltis.

Zbliżał się rok 1939. Byłem wtedy w 5-tym oddziale Szkoły Rodziny Wojskowej. Do zajęć lekcyjnych dodano przysposobienie do obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej. Mój Ojciec mimo brania udziału w przygotowaniach obronnych w okolicy Piotrkowa, w wybuch wojny nie wierzył. Uważał, że Niemcy po raz drugi nie popełnią błędu walki na 2 fronty : z Polską i Krajami Zachodnimi. Niemniej ja przygotowywałem się do wojny polsko-niemieckiej przeglądając w naszej bibliotece książki z dziedziny historii wojskowości , szczególnie z okresu Powstania Listopadowego. Ruchy wojsk przeniósłem na mapę. Ćwiczyłem również moich ołowianych żołnierzyków.

Na zakończenie roku szkolnego 1938/39 odbyła się wzruszająca uroczystość przekazania sztandaru szkolnego z rąk najstarszej klasy – naszemu, o rok młodszemu oddziałowi. Miałem zaszczyt zostać sztandarowym.

W pierwszych dniach sierpnia Ojciec zabrał mnie z Matką do Krakowa na zjazd legionistów. Pojechaliśmy samochodem otrzymanym przez Inspektorat Armii w ramach reparacji niemieckich. Był to Mercedes tego samego typu jakim jeździł Hitler. Między Wilnem i Grodnem nasz pojazd się zepsuł i został nazwany przez naszego kierowcę niemieckim szajsem. Podczas przypadkowego noclegu u miejscowego gospodarza, mój Ojciec uspakajał go, zgodnie ze swym przekonaniem, że wojny nie będzie.

Cała ta podróż pozostawiła we mnie radosne wrażenie rozwijającej się Polski. Do iluminowanego Krakowa wjechaliśmy późnym wieczorem. Wydał mi się on miastem z bajki. Razem z Matką oglądaliśmy defiladę „Legunów” rozpoznając wśród nich Ojca ekszołnierza I-ego Pułku Artylerii Legionowej – i wiele innych znajomych twarzy.

Pamiętam gen. Galicę w mundurze podhalańskim, który szedł w doskonałym humorze obejmując ramieniem leguna w stroju góralskim.

Wracaliśmy do Wilna z Generałem Dąb-Biernackim, zwiedzając po drodze rozbudowujące się Kielce i inne miejscowości Centralnego Okręgu Przemysłowego. Beztroski nastrój niczym nie zapowiadał zbliżającej się wojny, mimo, że przecież byliśmy w towarzystwie wojskowych.

27 sierpnia 1939 r. zapanował ożywczy ruch w naszym mieszkaniu. Ojciec został wezwany do swojej jednostki. Moja Matka pakowała rzeczy mojego Ojca, którego wyjazd do Zgrupowania Wileńskich Formacji miał nastąpić naza jutrz rano. Całe oprzyrządowanie oficera: pas, torba polowa, naramiennik, habura rewolweru pod ręką mojej Matki nabierały połysku; na rozpostartym białym płótnie leżał rozebrany rewolwer, którego każdą część moja Mama skrupulatnie czyściła i oliwiła, a skończywszy – wszystko sprawnie złożyła, odwiodła zamek i nacisnęła spust, mierząc w podłogę. Suchy trzask zamka dowiódł, że broń jest gotowa. Przygotowane do naładowania naboje znalazły się w magazynku, reszta w torbie polowej. Była bardzo opanowana.

Ja do ostatniej chwili pomagałem Ojcu pakować ostre naboje, a gdy przeżegnał mnie, na pożegnanie zobaczyłem w jego oczach łzy. Jak wiem od mojej Matki, głównym zadaniem, które jej powierzył, było moje wychowanie. Jeszcze nie przypuszczałem, że w tym dniu bezpowrotnie minął okres mojego dzieciństwa.

28 sierpnia mój Ojciec wraz z głównymi oficerami sztabu wyjechał w nieznanym nam kierunku – tuż po zastrzeleniu żołnierza KOP-u, o nazwisku Serafin.

W tym dniu widzieliśmy go po raz ostatni; dostał się do niewoli sowieckiej, z której napisał jeden list, a potem słuch o nim zaginął.

Wyjazd Ojca poprzedziła mobilizacja. Pamiętam zapamiętał, z jakim zmobilizowani młodzi żołnierze, jeszcze w cywilu, pełni entuzjazmu jechali do swych jednostek. Wśród całej społeczności odczuwało się ogromną solidarność i serdeczność. Z zapalem kopano rowy przeciwlotnicze. Mam w oczach obraz wykopywanego głazu, wytaczanego przez grupę przypadkowych przechodniów. Aby nie dawać złego przykładu rodzina moja nie czyniła żadnych wojennych zapasów. Dopiero ostatniego dnia przed wyjazdem, Ojciec pomógł nam w zakupie kilku kilogramów mąki i cukru.

Moja opowieść potwierdza fakt o przygotowaniach zbrojnego aktu wymuszania na Litwie „zdjęcia tzw. kordonu”. Czekano na incydent graniczny, co nie było trudnością. Incydenty takie, prowokowane przez Litwinów, były bardzo częste. Nieco później, w rozmowach toczonych u nas, wśród goszczących oficerów, usłyszałem, że ultimatum postawione Litwie, było poprzedzone rozmowami natury politycznej z ambasadorem ZSRR – Litwinowem – oraz Niemcami. Tym niemniej, kiedyś Ojciec wspominał, że była przeprowadzona tajna mobilizacja w celu zabezpieczenia się przed ewentualną agresją ZSRR; oddziały nie biorące udziału w zgrupowaniu uderzeniowym na Litwę zostały postawione w stan gotowości bojowej.

Od dnia rozłąki, Matka rozpoczęła prace jako telefonistka w Dowództwie Okręgu Wojskowego Wilna.

II wojna światowa

Ta część wspomnień, wymaga na wstępie komentarza historycznego ze względu na szczególnie skomplikowany przebieg wydarzeń jakie miały miejsce na obszarze obecnej Litwy w okresie II wojny światowej.

23 sierpnia 1939 r. III Rzesza i Związek Radziecki zawarły tajny układ (pakt Ribbentrop-Mołotow), który sytuował Litwę w niemieckiej strefie wpływów. Po agresji na Polskę przez Niemcy i Rosję sowiecką w 1939 r., Sowietci oddali zajęte Wilno i część Wileńszczyzny Litwinom. Groźba utraty niepodległości została skompensowana objęciem Wilna i części Wileńszczyzny, w którym przystąpiono, z uwagi na jego etnicznie niemal całkowicie polski charakter, do przymusowej lituanizacji. W ramach represji władze litewskie zamknęły m.in. Uniwersytet Stefana Batorego.

Dokonując licznych prowokacji granicznych, w 1940 ZSRR wysunął wobec Republiki Litewskiej ultimatum, żądając utworzenia baz sowieckich na jej terytorium. 15 czerwca 1940 r. 150-tysięczna armia sowiecka rozpoczęła okupację Litwy. Kilkanaście dni przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, rozpoczęto deportację 35 tysięcy ludności na Syberię.

Kolejna okupacja niemiecka dawała Litwinom stosunkowo duży zakres wolności i pewne nadzieje na jakąś formę państwowości. Powstały litewskie policje kolaboracyjne, które zwalczały polskie formacje niepodległo-

ściowe i dopuściły się zbrodni wobec ludności żydowskiej i polskiej na okupowanej Wileńszczyźnie, w tym zbrodni w Ponarach, gdzie w latach 1941-1944 wymordowano około 60–70 tys. Żydów i 20 tys. Polaków, głównie wileńskiej inteligencji.

13 lipca 1944 r. Wilno zostało ponownie zajęte przez Sowieców i żołnierzy Armii Krajowej (operacja „Ostra Brama”). Wraz z wypieraniem Niemców przywracano władzę radziecką, z którą do 1952 r. walczyły litewskie oddziały partyzantki, a na Wileńszczyźnie również polskie. Zarówno podczas pierwszej okupacji, jak i po 1944 r. Sowieci wprowadzali swoją władzę przy pomocy zbrodni, represji i masowych wysiedleń miejscowej ludności. Pozostałych Polaków z objętej przez sowiecką Litwę części Wileńszczyzny i w mniejszym stopniu Kowieńszczyzny (przedwojennych obywateli Republiki Litewskiej) przymusowo wysiedlono w latach 1944–1946 (Wysiedlenie Polaków z Kresów Wschodnich 1944–1946) w liczbie 200 tys., a następnie w ramach ostatniej masowej fali wysiedleń ludności polskiej w latach 1955–1959 w liczbie blisko 50 tys.

Przeżycia wojenne

Wprowadzenie

Może to dziwne, ale będąc tak czytany w przygodach wojennych i porzoborowej historii Polski nie wyobrażałem sobie w mych dziecięcych marzeniach, aby w moim życiu zabrakło udziału w walce. A moim zmartwieniem w dniu wybuchu wojny w 1939r było to, że miałem dopiero 11 lat i że ów młodociany wiek może mi uniemożliwić wzięcie broni do ręki.

Zdawałem sobie sprawę z obustronnego zagrożenia, ze strony Niemiec i Związku Radzieckiego. Ale mimo to nie

miałem wątpliwości, że Polska wyjdzie z tej wojny zwycięsko. W moim odczuciu nie było w zasadzie nienawiści do wrogów, natomiast przeważało poczucie obowiązku obrony niepodległości Ojczyzny. Nie odczuwałem żadnego strachu – zaczynała się przygoda.

Mój rocznik i jemu podobne:

- urodziliśmy się w czasie kiedy Polska była niepodległa,
- rodzice, szkoła, harcerstwo wpoilo w nas w poczucie odpowiedzialności za kraj,
- żywo reagowaliśmy na jego rozwój oraz ulegliśmy mitowi jego mocarstwowości,
- jednocześnie – rodzice przekazywali nam jak wielkie szkody w historii Polski uczyniły spory, brak jedności, wzajemne oskarżenia zwłaszcza w okresie powstań. Uczestników powstania 1863 r. najbardziej tragicznego na Litwie, widywaliśmy na ulicach w granatowych mundurach. Na wzór tych mundurów chodzili ubrani uczniowie szkoły o.o. Jezuitów i kadeci.

Nie ukrywam, że jedną z pierwszych pieśni patriotycznych, poza „Mazurkiem Dąbrowskiego” i „Warszawianką”, których się nauczyłem było: „O cześć wam Panowie magnaci, za naszą niewolę kajdany”. A główny nacisk z tych nauk był taki: „Polak nigdy się nie poddaje”.

17 września 1939 r. na wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej w kościele Św. Jerzego, tworzy się pierwsza organizacja podziemna w Wilnie (o tym wydarzeniu, w formie wspomnień, dowiedzieliśmy się w 1995 r., na jednym ze spotkań na Uniwersytecie Warszawskim, z ust jej założyciela, prof. Kukułowicza, członka Rady Prymasowskiej).

Po wkroczeniu Armii Litewskiej, zawiązują się tajne organizacje studenckie.

Późną jesienią, po przybyciu do Wilna majora Aleksandra Krzyżanowskiego, o późniejszym, w 44-tym roku, pseudoni-

mie „general Wilk” (generałem zostaje mianowany pośmiertnie) rusza: Wielka Konspiracja”.

W 1943 r. rusza na całego partyzantka.

Nastrój tego okresu oddaje esej napisany przez Zygmunta Komorowskiego, jego pytanie brzmi:

„Skąd ten rozdźwięk pomiędzy mieszkańcami Wielkiego Księstwa Litewskiego, zamieszkującymi stolicę tego Księstwa i jej okolic, a Litwą Kowieńską?”.

I jak tu nie szukać wyjaśnień w historii.

Faktem jest, że I Wojna Światowa, a w szczególności jej zakończenie, zmusiło wiele społeczności, ba – poszczególne jednostki – do autodeklaracji.

Prof. Zygmunt Komorowski, w swym przesłaniu, które nam pozostawił, pisze również:

„Polacy, przez dwa stulecia, uparcie starali się korygować świat, i czynić rzeczywistość bardziej sprawiedliwą. Obecnie, w tym dążeniu, na drodze, leży sprawiedliwe rozliczenie się z sąsiadami”.

Pierwsze dni wojny

Pierwszego września 1939 r. całą szkołą poszliśmy, zgodnie ze zwyczajem, na uroczystą Mszę Świętą do kościoła Świętego Jerzego na placu Elizy Orzeszkowej, rozpoczynając w ten sposób nowy rok szkolny. Po raz pierwszy i ostatni w moim życiu niosłem wtedy nasz sztandar. Jediną zmianą w życiu szkoły było pełnienie dyżurów związanych z obroną przeciwlotniczą i przeciwgazową, w której brałem udział. Jednak dopiero po kilku dniach przeżyliśmy w Wilnie pierwszy nalot. Pamiętam, że najpierw rozległ się ryk syren a następnie wpadła do klasy podekscytowana koleżanka pełniąca służbę, która nakazała zejście do schronu. Ja wraz z kilkoma kolegami udałem się na wyznaczone posterunki. Pamię-

tam zdyscyplinowany sposób zachowania się nauczycieli i uczniów. Ja zająłem się osobami, które przypadkowo schroniły się z ulicy do naszej szkoły. Dopilnowałem również, aby moi podopieczni nie opuścili budynku bezpośrednio po odwołaniu nalotu, zachodziła bowiem obawa ewentualnego zatrucia gazem bojowym. Za to moje zachowanie zostałem wyróżniony przez dyrektorę szkoły, cieszącą się powszechnym uznaniem.

Drugi alarm przeżyłem w domu; gdy zawyły syreny moja Matka z całym spokojem włożyła futro, wzięła torebkę z kosztownościami i nakazała wszystkim, równie ciepło ubranym domownikom, zejście do piwnicy. Te rozkazy nie zostały jednak wykonane. Pani Klonowska, ciotka znanego nam jeszcze z Torunia kapitana Bilińskiego, która w obawie przed wojną zjechała do nas z Suwałk, dostała palpacji serca i wpadła w ramiona ordynansa. Jej foksterierek zaczął ujadać, a z balkonu odpowiadał mu głębokim głosem nasz „Dar”. Sprawdzenie obu tych psów razem było niemożliwe, ponieważ się serdecznie nienawidziły. Ja kategorycznie oświadczyłem, że bez mojego czworonożnego przyjaciela do piwnicy nie zejść. Natomiast służąca Ola zdecydowała, że najpierw musi skończyć szorowanie kuchennej podłogi. Zrobiło się zamieszanie, któremu wtórował jazgot naszych karabinów maszynowych ostrzeliwujących niemieckie samoloty. W tej sytuacji moja Matka zrezygnowana, zdjęła futro i udała się do swego pokoju. Oto w jaki sposób, zresztą nie po raz ostatni, wziąłem udział w dramatycznej scenerii połączonej z komizmem.

Mimo niepokojących informacji z frontu, miasto zachowywało spokój, szczególnie, że naloty lotnicze okazywały się niegroźne w skutkach. Komunikaty o obronie Westerplatte dodawały nam otuchy, jak również wiadomości o licznie strącanych wrogich samolotach. Kryptonimy kierunków nalotów stwarzały poczucie panowania nad sytuacją.

Trzeci nalot na Wilno nie był poprzedzony syrenami. Nie spodziewane wybuchy bomb skłoniły nas do zejścia po raz pierwszy do piwnicy. Bombardowana była nasza dzielnica, na szczęście rezultaty były nikłe. Jeden z moich szkolnych kolegów przyniósł tryumfalnie do klasy odłamek pocisku.

Pierwszym dramatem była wiadomość o zamknięciu strzałów żołnierzy majora Sucharskiego. Wojska niemieckie podchodziły pod Warszawę a ja nadal nie traciłem wiary w zwycięstwo. Niepokój Matki wzbudził list od Ojca w którym prosił nas abyśmy nie opuszczali Wilna ponieważ los uciekinierów jest straszny. W ostateczności mieliśmy jechać do Finlandii, do brata mojej Matki, Władysława Łosia, *attache`* Wojskowego w Polskiej Ambasadzie w Helsinkach.

Do 17 września, życie miasta nadal, mimo tragicznych wiadomości z frontu, toczyło się normalnie. Rano, wracając po nocnym dyżurze z centrali telefonicznej, moja Matka oznajmiła mi o wkroczeniu do Polski wojsk radzieckich. Mimo świadomości o istnieniu 2 wrogów, była to wiadomość dla nas zupełnie niespodziewana. Spytałem się wówczas: „Mamo, co będzie z Polską?” – i usłyszałem odpowiedź: „Nie wiem”.

Tego dnia nie poszedłem do szkoły ponieważ wszyscy w domu zajęliśmy się paleniem dokumentacji wojskowej mojego Ojca. Ja urzędowałem przy piecu kuchennym i przekonałem się jak wolno pala się stopy papieru.

Po południu Matka poszła wraz ze mną do Urzędu Wojewódzkiego w celu przedłużenia ważności naszych paszportów. Dymiące kominy świadczyły, że i tu palona jest urzędowa dokumentacja. W panującym rozgardiaszu, licznie zgromadzeni interesanci sami się usługiwali, stemplując paszporty.

Moja Matka podeszła jednak do urzędniczki z prośbą o załatwienie jej sprawy. Ta, bezradnie rozkładając ręce, stwierdziła: „Nie widzi Pani co się dzieje, pieczętki są już w ręku tych pań i panów!”. Matce ten nastrój paniki wydał

się tak niestosowny i zawstydzający, że wróciliśmy z naszej wyprawy bez przedłużonych paszportów, co w sposób bardzo znaczący zaważyło na naszych dalszych losach.

W obawie przed wkroczeniem bolszewików trzeba było opuścić nasze mieszkanie. Drobne pamiątki związane z moim Ojcem wzięła na przechowanie rodzina naszej służącej Oli – pp. Stankiewiczowie. Srebro zostało przekazane panu Poczterowi. Szablę i karabin legionowy własnoręcznie zakopał w piwnicy, stróż naszego domu. My we dwoje z Matką udaliśmy się z podręcznym bagażem do Pani Janiny Rudnickiej – żony pułkownika Tadeusza Rudnickiego, którzy nie dawno uzyskali mieszkanie i i nie byli jeszcze znani w swojej dzielnicy. Uzgodniliśmy, że tam przeczekamy wkroczenie Rosjan.

W dzielnicy, w której teraz zamieszkaliśmy, działało kilka struktur konspiracyjnych znanych mi z doraźnych działań na ich rzecz (kolportaż prasy podziemnej, wyrabianie fałszywych dokumentów). Działała również „siatka” 5 Brygady Wileńskiej rtm. Szyndzielosza „Łupaszk” oraz pododdziały Garnizonu Wileńskiego, do którego należał Eugeniusz Sargun. W szczególności pozostałem w bliskim kontakcie z dowódcą Eugeniusza Sarguna – wachm. Józefem Trzebskim, który organizował nam szkolenia, a którego dwaj synowie: Zbigniew „Nieczuja” i Jan „Janosik” walczyli i zginęli w 5-tej Brygadzie.

18 września, od kapitana Bilińskiego przeniesionego na czas wojny z Suwałk do Wilna, dowiedzieliśmy się, że nie wygląda na to by Wilno się broniło. Pamiętam łzy w oczach kapitana. A jednak mobilizacją zostały jeszcze objęte najstarsze klasy licealne. Uczniom po odebraniu przysięgi rozdano karabiny. Pamiętam, że dwóch nowo kreowanych żołnierzy odwiedziło Hankę Rudnicką, córkę naszych przyjaciół. Szczerze im zazdrościłem. Na ulicach panował duży ruch. Wieczorem miał miejsce niepokojący incydent; ulicą Mic-

kiewiczza przejechał motocyklista wydający groźne okrzyki: „Bolszewicy w mieście”. Zrobiła się panika. Staralem się wybiec z domu w poszukiwaniu mojej Matki, która właśnie wyszła do sklepu.

Ten nierozważny wyczyn uniemożliwili mnie dwaj panowie z plecakami, którzy schronili się na klatce schodowej. Grozę sytuacji spotęgowała obecność oddziału polskiej kawalerii na trotuarze. Na szczęście moja Matka szybko wróciła i położyliśmy się spać.

19 września obudziły nas strzały wymierzone w nasze okna, i hurgot radzieckich czołgów. Schroniliśmy się wszyscy do wewnętrznej części mieszkania, odmawiając Litanie Loretańską. Jak się później okazało byliśmy w jednym z nielicznych miejsc starcia bolszewików z oddziałami polskimi. Odłamek pocisku z działa czołgowego schowała na pamiątkę Hanka Rudnicka – jako córka gospodyni domu. Ja musiałem zaspokoić się przeżyciami.

Na ulicach miasta krążyły patrole zarówno żołnierzy Armii Czerwonej jak i cywile. Te ostatnie, z czerwonymi opaskami na rękawach, składały się w większości z osób o wyglądzie semickim. Przechodząc z Matką koło żołnierza stojącego na warcie, z nasadzonym bagnetem na karabinie, odczuwałem obawę czy nie zostanie on użyty w stosunku do nas. Nie bałem się śmierci, ale po raz pierwszy odczułem lęk, żeby głupio nie zginąć. Jeżeli miałem zginąć – to bohatersko!

W przeciągu 2 dni, sprzedając większość mebli, przenieśliśmy się do 2 pokoiów wynajętych nam przez Panią „Muszkę” Peristy, żonę oficera saperów. Mieszkanie to znajdowało się w domkach bliźniaczych na rogu ulic Kościuszki i Holenderni. To nasze przeniesienie okazało się zasadne ponieważ w ten sposób uniknęliśmy spotkania z pułkownikiem NKWD, który w towarzystwie żołnierzy „odwiedził” nasze poprzednie mieszkanie przy ulicy Antokolskiej. Obecna przy

tym Ola nie przekazała pułkownikowi naszego aktualnego miejsca „postoju”, a sąsiedzi na otrzymanywane zapytywania wzruszali ramionami. Ta solidarność społeczności wileńskiej towarzyszyła nas do czasu opuszczenia Wileńszczyzny.

Następnym posunięciem mojej Matki było zapisanie mnie do innej szkoły powszechnej o nazwie „Świt”. W tej bardzo licznej klasie spotkałem się tylko z jednym kolegą ze Szkoły Rodziny Wojskowej – Cezarym Broniewiczem, z którym zaraz przystąpiliśmy do tworzenia „Organizacji Podziemnej”. Na razie ograniczyliśmy się do pisania i rozrzucania ulotek o walkach oddziału partyzanckiego pułkownika Dąbrowskiego. Informacje te zdobywał Czarek. Wychowawczynią klasy była Pani Śledziwska doskonale zorientowana co do naszej „proweniencji”. Być może temu zawdzięczam, że wkrótce zostałem wybrany gospodarzem klasy.

Od jesieni uczestniczyłem, wraz ze swą matką, w działaniach konspiracyjnych. Aleksander Krzyżanowski „Wilk”, bliski przyjaciel mojego ojca, ppłk. Edwarda Słowikowskiego, po przybyciu do Wilna w 1939 r. skontaktował się z moją Matką. Od tej pory byliśmy, wraz z Matką, wciągnięci do grona osób wykonujących różne konspiracyjne zadania jak np. : pomoc dla ukrywających się oficerów WP przez placówkę Czerwonego Krzyża (1939/1940), kierowaną początkowo przez p. Janinę Fieldorf, żonę generała „Nila”, pośrednictwo w wyrabianiu fałszywych dokumentów, kolportaż prasy podziemnej, organizacja nasłuchu radiowego, drobne akcje wywiadowcze, organizacja spotkań konspiracyjnych itp.

Pod władzą litewską

W październiku 1939 r. wkroczyło wojsko litewskie, a za nim nowe władze. Wilno zostało ogłoszone stolicą Litwy. W przeddzień tego wydarzenia sklepy zostały ogołoczone

przez NKWD z bardziej luksusowych towarów. Na skrzyżowaniach ulic stanęli litewscy policjanci przywiązując dużą wagę do prawidłowego przechodzenia przez jezdnię. Ubrani byli w granatowe płaszcze z czerwonymi wyłogami i złocnymi guzikami a na głowach mieli wysokie czapki zakończone białą kitą. Te nowe porządki irytowały i śmieszyły ludność wileńską. Barwy mundurów przypominające upierzenie indyka stały się przyczyną przezwiska „kałakutas” – indyk.

Wkroczenie wojsk litewskich przy kompletnie opustoszałych ulicach nie zniechęciło Litwinów do lituanizacji Wilnian, a szkoda, bo podczas ucieczki z Wilna wielu Polaków doznało pełnego współczucia od Litwinów osiadłych na przygranicznych terenach.

Narodowy ruch litewski, w znacznej mierze budowany na wpajaniu nienawiści do „dworów” mówiących uroczą śpiewną polszczyzną, narodził się u schyłku XIX wieku i to, niestety, w znacznej mierze propagowany przez kler litewski.

Spytałem kiedyś Zygmunta Komorowskiego, ojca obecnego Prezydenta, a mego serdecznego przyjaciela: „czy w czasie Świąt Bożego Narodzenia, jego rodzice zapraszali miejscowego, litewskiego proboszcza do siebie, do dworu? W odpowiedzi zachnął się... „ależ skądże...” {sic}, a ich Matka, Magdalena z Gorskich ze Żmudzi, nie czuła żadnej sympatii do Narodowego Ruchu Litwinów. Jej mąż, Juliusz, brał wprawdzie udział w wyzwoleniczych walkach Litwinów, ale z chwilą gdy ci wystąpili przeciwko Polsce, odesłał wszystkie otrzymane za ten udział ordery powstałym władzom litewskim.

Należy nadmienić, że majątek pp. Komorowskich, znalazł się w obrębie wskrzeszonej Litwy, z której, w obawie o życie, musieli uciekać w 1941r. Uciekli do Wilna, a następnie – zamieszkali w Kolonii Magistrackiej.

Synowie pp. Komorowskich, Zygmunt i Bronisław (Zyś i Biś) wstąpili do tajnej organizacji; Biś – zaaresztowany przez Gestapo w Wilnie w 1942r, został rozstrzelany w „Górach Ponarskich” przez wysługujący się Niemcom, oddział litewski. Obecny Prezydent RP „odziedziczył” imię po rozstrzelanym stryju.

To była dygresja, która świadczy o trwającej do dziś skomplikowanej zaszłości i terażniejszości pomiędzy Polakami i Litwinami. Paradoksem jest, że powstanie Państwa Litewskiego spowodowało, że szlachta na Litwie przestała nazywać się „szlachtą litewską”.

Jednym z pierwszych zarządzeń dotyczących oświaty był nakaz wprowadzania lekcji języka, historii i geografii Litwy. Kierownictwo szkół zostało przejęte przez nauczycieli litewskich, mówiących po polsku. Pierwsza lekcja języka litewskiego zaczęła się od nadawania nam imion i nazwisk. Ja na przykład miałem się nazywać Jurgis Słowikauskas. Szczególnie ostro protestowała koleżanka Dowejko, której dyrektor wmawiał, że jest Litwinką. Na zakończenie zostaliśmy zapytani czy ktoś z nas potrafi powiedzieć jakieś zdanie po litewsku a wówczas z wypowiedzi mojego kolegi dowiedziałem się, jak w tym języku brzmi nazwa wstydlivej części ciała.

Gdy w czasie przerwy, w rozmowie z koleżanką, odczytany w „Panu Tadeuszu” zauważyłem, że jednak jej nazwisko jest pochodzenia staro-litewskiego, otrzymałem ostrą odpowiedź: „Czy byłoby ci przyjemnie, gdyby cię dzisiaj nazwano Litwinem?”. To „dzisiaj” ma swoje specyficzne znaczenie; w okresie dwudziestolecia można było tak, jak Marszałek Piłsudski, czuć się i Polakiem i Litwinem. Litewski szowinizm spowodował zwrotną reakcję.

Następnym uderzeniem była wymiana nauczycieli. Musieliśmy się pożegnać z kochaną Panią Śledziowską. Młodzież wileńska odpowiedziała na to zarządzenie strajkiem ogólnym.

noszkołnym. Po tygodniu, na wezwanie polskich nauczycieli, wróciliśmy jednak do szkoły.

Nowego wychowawcę przyjęliśmy grobową ciszą a na tablicy umieściliśmy napis: „Myśmy przyszłością narodu”. Nauczyciel najpierw przyjrzał nam się uważnie, po czym odwrócił się i odczytując głośno powyższy tekst, dodał: „oczywiście Narodu Polskiego”. W klasie zrobiło się gwarno, odechnęliśmy.

Pamiętam, jak w czasie jednej z lekcji historii Litwy dobiegł do nas śpiew Roty w wykonaniu uczniów z sąsiedniej klasy. Wykładająca nam Litwinka pobiegła by uspokoić śpiewających, znajdujących się aktualnie bez nauczyciela. Z kolei my zaczęliśmy śpiewać „Warszawiankę”.

Powracając nauczycielkę przywitaliśmy hymnem „Jeszcze Polska nie zginęła”, wykonanym przez 2 chóry. Gdy przybyły posiłki pedagogiczne z dyrektorem szkoły na czele, siedzieliśmy już spokojnie na naszych miejscach.

Moja Matka wiedząc już o moim zachowaniu się w szkole i spodziewając się wyrzucenia mnie z „wilczym biletem” – zdecydowała przenieść swego wojującego jedynaka do szkoły Zakonu Jezuitów. Szkoła ta stanowiła wówczas swoistą oazę. Z wyjątkiem języka litewskiego wprowadzonego przymusowo, przerabialiśmy program obowiązujący przed wojną.

Szkoła Jezuitów, do której uczęszczałem, stanowiła pewnego rodzaju azyl gdzie oddychaliśmy atmosferą przedwojennej Polski. Nawet lekcje języka litewskiego pozbawione były atmosfery wrogości, a uczniowskie figle ograniczane były do wywracania niestabilnej tablicy. Większość uczniów chodziła w charakterystycznych mundurkach szkolnych, stanowiąc zgraną od lat grupę. Mimo to, że byłem „nowym” klasa mnie zaakceptowała. Przebywałem w tej klasie tylko rok – tj. do chwili jej skasowania przez władze radzieckie, a mimo to wywarła na mnie duży wpływ.

Nawiązane przyjaźnie z kolegami i wychowawcami przetrwały długie lata. Z Karolem Łucewiczem, jego starszym bratem Romkiem i Adamem Korwin-Piotrowskim chodziliśmy codziennie razem z odległego Antokołu na ulicę Wielką. Szkoła mieściła się przy rozległym klasztorze i Kościele Św. Kazimierza. Klasztor ten miał wiele zakamarków - w których już po zamknięciu szkoły – odbywały się nasze spotkania z wychowawcami w sutannach. Mimo umiejętnego zachowania dystansu byli oni naszymi prawdziwymi powiernikami. Szczególną sympatią, wzajemną zresztą, darzyłem Ojca Wacława Sęka oraz, wówczas jeszcze Zakonników, Wieteskę i Michalskiego. Ci ostatni organizowali nam bogate życie pozalekcyjne np. w kółku teatralnym czy Organizacji Krucjaty Eucharystycznej. Intensywnie uczyłem się wówczas ministrantury.

Wspólnie przeżywaliśmy polskie rocznice narodowe; 3 maja odbywała się uroczysta msza w kaplicy klasztornej, przed którą warowała policja litewska. Aby zapobiec jej interwencji zostaliśmy wyprowadzeni do szkoły przez zabudowania klasztorne.

Pragnę teraz opisać, jak we mnie, jedenastoletnim chłopcu, zrodziła się nienawiść. Przed wojną właściwie nie miałem z Litwinami żadnego kontaktu. Pierwszy raz język litewski usłyszałem w szkole powszechnej „Świt”. Z chwilą wkroczenia wojsk litewskich traktowałem Litwinów jak okupantów.

Pierwsze spotkanie z rówieśnikami litewskimi było bardzo przykre. Idąc samotnie ulicą i być może pogwizdując jakąś polską piosenkę, co było w moim zwyczaju, zostałem niespodzianie zaatakowany przez 2 idących za mną chłopców w szkolnych czapkach litewskich. „Jak to, dwóch na jednego” – zawołałem. Naradzili się i do walki przystąpił jeden. Zacząłem nawet brać nad nim górę, choć bez stosowania ciosów w szczękę, do których nie byłem wówczas

zdolny – gdy jednocześnie zacząłem się zastanawiać: Jak to się wszystko skończy? Niespodziewana pomoc i odpowiedź na moje pytanie zjawiała się w postaci starszego, silniejszego kolegi, który bez trudu nas rozdzielił. Wtedy mój litewski przeciwnik wyciągnął nóż! Tym razem sytuacja zaczynała być naprawdę groźna. Na szczęście, nadbiegające „polskie posiłki” spowodowały ucieczkę obu Litwinów w kierunku koszar.

Na tym się jednak nie skończyło. Gdy ruszyłem w drogę z moim przygodnym obrońcą, brama jednej ze starych kamieniczek otworzyła się nagle i zostałem uderzony kamieniem w ramię – zobaczyliśmy jeszcze uciekających tych samych dwóch Litwinów. Byłem wściekły i może po raz pierwszy w życiu poczułem nienawiść i chęć odwetu, który zresztą wkrótce nastąpił.

Kilka dni później, gdy szliśmy gromadą do szkoły zobaczyłem jednego z moich prześladowców podążających w tym samym co my kierunku. Podszedłem do niego z boku i gwałtownym ruchem zepchnąłem na jezdnię. To była moja zemsta, którą chyba obaj dobrze zapamiętaliśmy .

Ostatni raz spotkaliśmy się jesienią 1944r. Ja byłem sam, on siedł w grupie kolegów. Odwrócił się i gdy mnie rozpoznał powiedział po polsku: „Trzeba by obić tę polską mordę”.

„A więc nauczyłeś się mówić po polsku” – stwierdziłem krótko. Mając za sobą przeszłość partyzancką i nabity pistolet pod pachą, schowany pod kurtką, byłem zupełnie spokojny. Dalszego ciągu nie było. Koledzy mojego przeciwnika pozostali na jego wyzwanie zupełnie obojętni.

Dziś wyzbyłem się wszelkiej nienawiści do ludzi. Uważam, że nienawidzić można tylko idee. Przytoczyłem jednak to zdarzenie aby wykazać jak indywidualne doświadczenie może wpłynąć na kształtowanie się naszej postawy od której potem trudno odstąpić. Winą mojego przeciwnika było

to, że poddał się szerzonej antypolskiej nienawiści. Ale jakie były jej przyczyny? Do tego tematu wrócę na zakończenie, omawiając moje uczestnictwo w budowaniu zrębów Klubu Uniwersyteckiego na Rzecz Europy Środkowo-Wschodniej.

U schyłku 1939 r., podczas okupacji litewskiej Wilna, rozpoczęły się działania mające na celu podporządkowanie wszystkich, spontanicznie powstałych, tajnych organizacji Związku Walki Zbrojnej. Jednocześnie, zorganizowano legalną pomoc społeczną rodzinom wojskowych i nielegalną – ukrywającym się przed internowaniem, oficerom i podoficerom. Wszystko to działo się pod auspicjami legalnego, Lietuvos Raudonas Kryžius, czyli Litewskiego Czerwonego Krzyża.

Środki materialne, nielegalnie pieniężnie, i legalnie, w postaci odzieży oraz produktów żywnościowych, za pośrednictwem brytyjskiego i amerykańskiego „Czerwonego Krzyża”, przysyłano z W. Brytanii i z USA. Dystrybucją tych środków zajęła się komórka Czerwonego Krzyża powstała z inicjatywy p. Marii Fieldorfowej, żony płk. Emila Fieldorfa (późniejszego gen. Nila). Jej zastępczynią – była moja Matka. Aby zapewnić, że ukrywający się oficerowie nie mają żadnego priorytetu, p. Fieldorfowa zrezygnowała ze swojej funkcji na rzecz żony podoficera (p. Jadźwińskiej). Konspiracyjnie patronował tej działalności ZWZ; Wileński ZWZ już wtedy dysponował komórką tzw. „legalizacji”.

Zagrożenie aresztowaniem mojej Mamy było już na tyle duże, że zostaliśmy wyposażeni w fałszywe dowody i nieraz nie nocowaliśmy w naszym miejscu zamieszkania.

Pierwsze moje zetknięcie z konspiracją nastąpiło, jak już wspominałem, z chwilą, gdy moja Matka rozpoczęła pracę w oddziale Litewskiego Czerwonego Krzyża (Raudonas Kryžius). Do Wilna zaczęli napływać wojskowi, którym udało się uniknąć niewoli. Każdemu z nich groziło internowanie w li-

tewskim obozie jenieckim. Pomoc tym osobom była zatem nielegalna i nie mogła podlegać rejestracji. Toteż prowadzona była podwójna buchalteria.

Moja rola polegała na noszeniu paczek a niekiedy pieniędzy do poszkodowanych. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy leczącego się z ran podoficera, któremu w imieniu Rzeczypospolitej, wręczyłem zapomogę. W tym okresie głęboko przeżywałem krytykę i gorycz wyrażaną przez wiele osób pod adresem rządów i armii Polski przedwrześniowej.

Wiosną 1940r otrzymaliśmy od Ojca list w którym ponowił propozycję naszego wyjazdu do Finlandii. Moja Matka pojechała w tej sprawie do poselstwa Fińskiego w Kownie otrzymując od konsula serdeczne zapewnienie dotyczące organizacyjnej pomocy. Po odbyciu „sztabowej” narady z moją Matką, uznaliśmy jednak, że opuszczenie Wilna groziłoby zerwaniem kontaktów z Ojcem. Wierzyliśmy, że alianci wkrótce wyzwolą nas ze wszystkich opresji i ... że trzeba trwać na posterunku.

Któregoś październikowego dnia przyszedł list od Ojca, pisany ze Starobielska, z niewoli radzieckiej. Natychmiast, wraz z Matką wysłaliśmy do niego paczkę. Po miesiącu przesyłka wróciła z adnotacją, że władza radziecka zapewnia jeńcom dostateczną opiekę i wyżywienie. Wtedy, po raz pierwszy od wybuchu wojny, zapłakałem.

Tymczasem „posterunek” rozrastał się. Do gościnnego domu Pani Peristy przybyła wspomniana już Pani Rudnicka z córką, a w ślad za nimi – pułkownik Tadeusz Rudnicki wraz ze swoim kuzynem podchorążakiem - obaj oczywiście w ubraniach cywilnych.

Sytuacja nasza pod względem finansowym była na tyle dobra, że mogliśmy stołować uchodząc z Warszawy –Tadeusza Przybycienia. Ja stałem się jego powiernikiem. Okazało się, że studenci wileńskiego uniwersytetu założyli tajną orga-

nizację, mając zamiar między innymi szkolić się w dywersji. Do tego celu bardzo przydatne okazały się, wykradane przeze mnie, ze zbiorów męża Pani Peristy, egzemplarze „Przeglądu Saperskiego”. Z chwilą gdy sprawa wyszła na jaw, Pani Muszka ofiarowała cały zestaw w/w pisma gorliwym czytelnikom, a ja straciłem moją zaszczytną funkcję.

Chodziłem jednak nadal z Panem Tadeuszem do Domu Akademickiego, gdzie przysłuchiwałem się nader ciekawym dyskusjom. Pewnego razu w czasie naszych wędrówek byliśmy obaj z Panem Przybycieniem śledzeni co bardzo podniosło moje wyobrażenie o własnej osobie. Była to zarazem pierwsza lekcja mylenia śladów.

Jednego dnia – o ile sobie przypominam – było to w listopadzie 1939 r. – po usłyszeniu dzwonka otworzyłem wyjściowe drzwi i i moim oczom ukazała się postać majora Aleksandra Krzyżanowskiego. Nadzwyczaj serdecznie powitaliśmy tego bliskiego przyjaciela mojego Ojca. Mimo przebytej niedawno ciężkiej choroby Pan Oleś – bo tak zaczęliśmy go nazywać – był w doskonałej formie i pełen optymizmu. Od razu zrobiło się nam z Mamą rażniej. Otrzymałem polecenie zanieś listu do zamieszkałej w Wilnie matki majora Krzyżanowskiego, z równoczesnym zobowiązaniem, abym nie udzielał nikomu żadnych dodatkowych informacji; „Miejsce postoju nieznane”. Zadanie to wykonałem zgodnie z otrzymanym rozkazem. Spotkania, które zaczęły się odbywać w naszym mieszkaniu, między innymi z Tadeuszem Przybycieniem, stanowiły jedno z ogniw tworzącego się Związku Walki Zbrojnej na Wileńszczyźnie. Wiem, że nasz „stołownik” kilkakrotnie przekraczał, zimą 1939/40, granicę litewsko-radziecką przewożąc korespondencję do Grodna. Zwierzył mi się kiedyś również, że jego koledzy studenci weterynarii wstrzykiwali zarazki trychinozy świniom eksportowanym do Niemiec.

Jak już wspomniałem powyżej, praca konspiracyjna mojej Matki w litewskim Oddziale Czerwonego Krzyża, wymagająca prowadzenia podwójnej buchalterii, łączyła się z niebezpieczeństwem. Jej wykrycie mogło w konsekwencji doprowadzić do więzienia.

Wtedy po raz pierwszy doznaliśmy pomocy ze strony polskich władz podziemnych. Otrzymaliśmy oboje z Matką fałszywe dokumenty i zaczęliśmy nocować poza domem. Noclegi te organizowała nam służąca Ola – wykorzystując w tym celu członków swojej rodziny i znajomych, którzy doskonale zdawali sobie sprawę z tego jak się narażają. Wywiad organizacji podziemnej był na tyle sprawny, że wiedzieliśmy kiedy następuje zagrożenie.

Działalność władz litewskich w stosunku do społeczności wileńskiej stawała się z biegiem czasu coraz bardziej uciążliwa. Przybyli na Wileńszczyznę Litwini z Litwy Kowieńskiej uważali wszystkich obywateli dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, którzy opowiedzieli się za trwałym związkiem z Polską, za narodowych zdrajców, co przyczyniło się do zaostrzenia sytuacji. W rezultacie zaczęła się rodzić nie tyle nienawiść ile pogarda w naszych kontaktach z litewskim okupantem.

W Litewskiej Republice Radzieckiej

W maju 1940r wkroczyła na Litwę Armia Czerwona tworząc nową republikę radziecką. Z tą chwilą kończyły się dla Polaków możliwości wyjazdu na Zachód. Władze litewskie patrzyły jeszcze na te wyjazdy przez palce. I tak udało się wyjechać pułkownikowi Rudnickiemu wraz z towarzyszącym mu podchorążym i całą rodziną. Niektórzy Polacy, jako powód opuszczenia Litwy, podawali emigrację do Palestyny.

Spółeczność wileńska przyjęła to powtórne wkroczenie bolszewików z mieszanymi uczuciami. Liczono, że dotychczasowe antypolskie działania władz litewskich ulegną złagodzeniu w obliczu wspólnego okupanta. Każda zmiana wydawała się chwilą oddechu podczas gdy stale, niezłomnie wierzyliśmy, że lada moment ruszy wielka ofensywa Aliantów, która przywróci „normalny stan rzeczy”.

Ku naszemu zdziwieniu asymilacja władz litewskich z okupantem nastąpiła bardzo szybko. Rozpaczy po utracie niepodległości nie było widać! Pierwszym dotkliwym zarządzeniem władz litewsko-radzieckich była rekwizycja mieszkań dla oficerów radzieckich i ich rodzin. W naszym domu zamieszkało 2 oficerów, którzy pełnili służbę politruków w armii litewskiej. Młodszy lejtnant Afanasjew, uczestnik „wojny zimowej” radziecko-fińskiej, był przystojnym, wesołym chłopcem, który chętnie wdawał się z nami w rozmowy pod nieobecność swego wiekiem i rangą starszego kolegi. Szczególnie wpadła mu w oko Hanka Robakiewiczówna, która wraz ze swą matką zamieszkała u nas po wyjeździe państwa Rudnickich.

Mimo że żyliśmy obecnie w Związku Radzieckim, korespondencja z moim Ojcem zupełnie ustała. Ogarnął nas wzrastający niepokój.

Uwaga: Nazwisko mojego Ojca nie znalazło się na tzw. „Liście Starobielskiej”: wszystko wskazuje na to, że wcześniej znalazł się w więzieniu NKWD. Przez nasz „Wywiad” na kilka lat przed wojną, był uprzedzony, że jego nazwisko figuruje na listach zarówno NKWD jak i Abwehry, szczególnie niebezpiecznych polskich oficerów.

Konsekwencją wkroczenia armii radzieckiej było zamknięcie Czerwonego Krzyża – ostatniego źródła ewentualnej informacji. Moja Matka straciła pracę – utrzymywaliśmy się ze sprzedaży rzeczy. Ja mimo tej ciężkiej sytuacji prowadziłem

ożywione życie towarzyskie zarówno z kolegami szkolnymi jak i z przyjaciółmi z podwórka. Mieliśmy zamiar utworzyć własną organizację podziemną, a do tego celu potrzebna była broń. Zamierzaliśmy więc spenetrować podziemia Kościoła Św. Piotra i Pawła na Antokolu, gdzie rzekomo schowane zostały karabiny polskich żołnierzy, jeszcze we wrześniu 1939 r. Silne kraty w oknach piwnic kościelnych i zdecydowana postawa zakrystiana uniemożliwiły nam osiągnięcie tego celu.

Do moich codziennych zajęć doszła kontynuacja nauki gry na fortepianie. Dzięki mojej nauczycielce Pani Janinie Wojewódzkiej zacząłem uczęszczać do konserwatorium.

Mimo przerwy wakacyjnej, w dalszym ciągu wraz z kolegami, utrzymywaliśmy kontakt z naszymi wychowawcami ze szkoły OO Jezuitów. Często gromadziliśmy się w należącej do tego zakonu willi, pięknie położonej nad Wilią, otoczonej gęsto rosnącą zielenią, co nadawało tajemniczości temu miejscu. Na niewielkim stawie rozgrywaliśmy bitwy morskie, w których ważną rolę odgrywała łódka. Amunicję stanowiły kule ugniecione z wodorostów. Dwu przeciwnym sobie obozom przewodzili klerycy. Pojawiał się również na naszych spotkaniach Ojciec Waclaw Sęk, historyk z wykształcenia, który wywarł duży wpływ na kierunek moich zainteresowań.

Władze nowej Republiki Litewskiej zlikwidowały szkołę Zakonu Jezuitów ale my nadal odwiedzaliśmy naszych byłych wychowawców – tym razem w klauzurze klasztornej.

Od września 1940 roku, zupełnie osamotniony, zacząłem uczęszczać do 7 klasy radzieckiej dziesięciolatki, ale z wykładowym językiem polskim. Uczyliśmy się w niej również języka rosyjskiego, litewskiego i niemieckiego, w którym czyniłem duże postępy.

W Kolonii Magistrackiej

Kolejnym kataklizmem w moim życiu było wyrzucenie nas z Matką – w przeciągu 2 dni – z naszego dotychczasowego mieszkania, które zostało przekazane rodzinom oficerów radzieckich. Paradoksem było, że owe rodziny bardzo nam współczuły i starały się złagodzić ostre warunki przeprowadzki. Momentem wiążącym była zbieżność zawodowa mojego Ojca i jednego z nowych mieszkańców, który okazał się również oficerem artylerii.

I znów chciałem oddać ciepło i spontaniczną pomoc społeczności wileńskiej. Łańcuch ludzi dobrej woli wskazał nam nowe miejsce naszego postoj.

Zamieszkaliśmy w domku letniskowym Kolonii Magistrackiej, odległej o 6 kilometrów od centrum Wilna. Ja do mojej nowej szkoły, mieszczącej się na tyłach ratusza, musiałem dojeżdżać dwoma autobusami, a nieraz wędrować piechotą. Domek składał się z 3 pokoi, kuchni, sionki i dużego strychu, który odegrał znaczącą rolę w moich dalszych losach wojennych. Jeden z dwu ogrzewanych piecem pokoi zajęła Pani Robakiewiczowa z córką. Działka na której poza naszym domkiem stał jeszcze obszerny dom gospodarza, należała do pracownika straży pożarnej Pana Marczułajtisa, który zadeklarował swoje litewskie pochodzenie. My posługiwaliśmy się dowodami litewskimi ale – z naznaczoną narodowością polską. Ciekawostką było, że Pan Marczułajtis, mimo swego pro litewskiego nastawienia, w domu mówił po polsku, a dwaj jego dorośli synowie uważali się za Polaków.

Bardzo szybko wtopiliśmy się w społeczność Kolonii składających się z dawnych właścicieli działek i nowych lokatorów, których obecność spowodowana była różnymi wypadkami wojennymi. Było też sporo młodzieży. Poznawaliśmy

się w autobusie, który dowoził nas do szkół w Wilnie. Przebywałyśmy tam od 1940 do 1944 r.

Z nastaniem zimy 1940/41 jeździliśmy na nartach; lesisty teren Kolonii obfitował w pagórki. Niedzielami wybieraliśmy się na większe góry w rejonie tzw. „Rowów Sapieżyńskich” znajdujących się na peryferiach Wilna. Wieczorami starsza młodzież, do której, o dziwo byłem dopuszczony, zbierała się w różnych domach; z osób, które zapamiętałem, bywali: Zbyszek Trzebski, brat i siostra Kondratowiczowie z Pośpieszki, Leon Piórecki, Henryk Siemaszko i in. Z inicjatywy Hanki Robakiewiczówny, wystawione zostały „Jasełka” w dużym, nie w pełni wykończonym, domu Pani dr Stróżanowskiej.

Sobotnie i niedzielne wieczory stały się okazją do spotkań, rozmów i gier towarzyskich. Kolonia położona w lesie dawała poczucie bezpieczeństwa. Często odwiedzali mnie „trzej muszkietierowie”: Władek Korwin-Piotrowski (Athos), Karol Łucewicz (Aramis) i Janusz Malinowski (Portos). Ja przyjąłem rolę d`Artagnant. Jeszcze w szkole Zakonu Jezuitów zawarliśmy przymierze i złożyliśmy przysięgę, że nigdy nie będziemy ze sobą walczyć i zawsze będziemy sobie pomagać. W gwarze wileńskiej zapasy, jakie zastępowały nam walkę, nosiły nazwę „przerzutki”. Zdradzaliśmy sobie nawzajem chwytów stosowane w owej „przerzutce” – zapewniające pokonanie przeciwnika. Tak ćwiczyliśmy nasze chłopięce siły a tymczasem w szkole narastała indoktrynacja radziecka. Uczono nas bojowych pieśni, próbowano zorganizować komsomoł. Tylko nieliczna garstka uczniów dała się do niego wciągnąć. Reszta solidarnie stawiała opór. Nawet, gdy kiedyś rzuciłem gąbką w portret Generalissimusa Stalina, zazwyczaj układna i służbista koleżanka nie doniosła o tym dyrekcji.

Z Litwinami praktycznie nie mieliśmy styczności. Jediną Litwinką w szkole była nauczycielka tego języka. Niemniej jednak nasz negatywny stosunek do Litwinów pogłębiał

się na skutek ich uległości i biernego wykonywania poleceń władz radzieckich. Bałwochwalstwo systemu radzieckiego, który serwowano nam w szkole, niezwykle mnie irytowało. W końcu nie wytrzymałem i pisząc wypracowanie na temat sowieckiej edukacji spisałem tragiczny los dzieci „bezprizornych”, które w końcu zlikwidowano. Dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie tego dnia moje wypracowanie jako pierwsze znalazło się w rękach nauczyciela języka polskiego, znanego zresztą z prokomunistycznych przekonań. Zauważyłem jak w czasie czytania wyraz twarzy mu się zmieniał a po tym usłyszałem: „Taki uczeń jak Ty nie może chodzić do radzieckiej szkoły!”. Zabrał mój zeszyt i wyszedł z klasy. Zrobiła się cisza, tylko jedna z koleżanek, jak się później okazało, darząca mnie sympatią – wybuchła płaczem. Kochana Danusiu, nawet nie wiesz ile mnie twoje łzy dodały otuchy – a ja ci na przerwach tak często dokuczałem!

Ze szkoły mnie nie wyrzucono a to dzięki bardzo zazwyczaj srogiej nauczycielce języka rosyjskiego, która przeprowadziła ze mną serdeczną rozmowę, ale bez namawiania mnie do samokrytyki. Moja Matka przyjęła również moją opowieść o tym wydarzeniu z pełnym zrozumieniem, co było dla mnie bardzo ważne.

Na początku zimy 1940 r. odbyło się głosowanie za przyjęciem Litwy, Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy do ZSRR. Społeczność wileńska była tak sterroryzowana, że żadnego widocznego oporu nie było. Groźba wywiezienia (w nieskol oddalonych rejonach Sybira) robiła swoje.

Pewnego dnia zjawił się w naszym domku Aleksander Krzyżanowski w chłopskim przebraniu. Musiał uciekać z miasta z powodu dużej wpadki w Komendzie Wileńskiej AK. Zналиśmy jego konspiracyjny pseudonim: Wesołowski. Podczas wspólnej kolacji powiedział nam z uśmiechem, że Wesołowski już zmarł. Nazajutrz Pan Oleś opuścił nasz dom.

Wigilia 1940 roku była szczególnie smutna. Brak było jakichkolwiek wiadomości od mojego Ojca jak i od Ojca Hanki Robakiewiczówny. Na Pasterkę udaliśmy się do pobliskiego klasztoru Zakonu Redemptorystów. W odróżnieniu do roku ubiegłego nikt już nie zaintonował : Boże coś Polskę...". Policja litewska wyjątkowo nie interweniowała (W 1939 r. gdy wierni zaczęli wychodzić z katedry z tą pieśnią – rozbrzmiewał cały plac. Było to wówczas imponujące i podnoszące na duchu).

W zimie 1940/41 pojawiły się pogłoski o wywożeniu Polaków na Syberię. Przygotowaliśmy się z Matką na tę okoliczność; drogą konspiracyjną otrzymywaliśmy wiadomości o sporządzaniu list osób przeznaczonych do wywiezienia. Ostrzeżono nas, że i my znajdujemy się w tym rejestrze. Przygotowaliśmy więc z Matką śpiwory i zapasy żywności. Co pewien czas sygnalizowano gromadzenie pustych wagonów towarowych na Dworcu Wileńskim.

Pewnego dnia moja Matka przysłała do szkoły z wiadomością, że być może tej nocy rozpocznie się akcja wywożenia ludności. Czy wrócę do domu? Odpowiedziałem przecząco ale wieczorem, razem z Cześkiem, pełniliśmy straż przy szosie, aby w razie pojawienia się ciężarówek uprzedzić moją Matkę by wyszła z domu. Alarm okazał się fałszywy.

Innego wieczoru mieszkańcy Kolonii i sąsiednich miejscowości zostali zaalarmowani informacją, że przed kościołem zakonu Redemptorystów stoją ciężarówki NKWD. Tłum, który się zebrał, był tak liczny, rozmodlony i zdeterminowany, że po kilku godzinach potencjalne niebezpieczeństwo, grożące księżom, zostało zażegnane.

Na przełomie marca i kwietnia 1941 r. ukończyłem indywidualny kurs wywiadowczo-topograficzny i wstąpiłem do grupy Łączników Dowództwa Okręgu kierowanego przez Zofię Dąb-Biernacką „Jagienkę”.

Często nocowałem u bardzo nam życzliwej rodziny naszej byłej służącej Oli. Serdecznie zaprzyjaźniłem się z Cześkiem Stankiewiczem, który w niedalekiej przyszłości miał się stać bardzo dzielnym partyzantem w Brygadzie Szczerbca.

W konserwatorium robiłem znaczne postępy i zostałem zaszczycony wzięciem udziału – jako solista wykonujący utwór Mozarta – w uroczystym koncercie szkolnym. W gronie pedagogów znajdował się wówczas wybitny pianista – Artur Szpinalski. Wytypowano mnie również do uczestniczenia w otwartym dla publiczności koncercie w wileńskim Ratuszu. Skończyło się tylko na planach z powodu wkroczenia wojsk niemieckich.

Jedynym walorem radzieckiej szkoły było położenie dużego nacisku na wychowanie fizyczne, które jednak było podporządkowane szkoleniu paramilitarnemu. O stosowanych metodach pedagogicznych niech świadczy następujące zdarzenie. W czasie uczniowskiej bijatyki zostało połamane krzesło nauczyciela. Jego poszczególne elementy zostały ukryte w różnych miejscach klasy. Rozpoczęło się śledztwo pod przewodnictwem dyrektora, powiązane z wykrycie jednej nogi w uczniowskiej ławce. Siedzenie które wraz z kolegą z ławki schowaliśmy za kaloryferem nie zostało znalezione. W tej sytuacji podejrzani uczniowie zostali zobowiązani do przekazania rodzicom następującej, stopniowanej groźby : zwrot krzesła w następnym dniu spowoduje jedynie obniżenie stopnia ze sprawowania; brak krzesła w następnym dniu groził więzieniem rodziców, a w trzecim dniu – wywiezieniem na Sybir. Oczywiście zastępcze krzesło zostało natychmiast dostarczone.

Z wiosną 1941 r. zaczęto nas „kształcić” w maszerowaniu szesnastkami po ulicach Wilna przygotowując w ten sposób paradę pierwszomajową. Ważnym momentem było zbiorowe odpowiadanie na wykrzykiwane przez nauczyciela hasło

trzykrotnym gromkim Ura,.. Ura,.. Ura.... Wyniki były marne. Młodzież spędzona z kilku szkół wydawała nie kończące się okrzyki: rura, rura, rura...

Ćwiczenia przeprowadzane na sali gimnastycznej również nie dawały oczekiwanych rezultatów, dopóki nie zastosowano prób czwórkami co pozwalało na indywidualny nadzór. Na ulicy jednak wszystko zaczynało się od nowa. Parada na 1-ego Maja odbyła się groteskowo. Pochód poprzedzała orkiestra szkolna gimnazjum im. Zygmunta Augusta, grająca polskie marsze. Wchodząc na Plac Łukiski musieliśmy zmienić krok w rytm w nadawanych przez megafon marszów radzieckich wzbogacanych okrzykami. Myśmy szli w milczeniu patrząc przed siebie i nie reagując na pozdrowienia z trybuny: „Zdarowa rebiata”. W odpowiedniej odległości nasza orkiestra ponownie zaczynała grać „na swojską nutę”.

Mimo że na Wileńszczyźnie nie mieliśmy żadnych krewnych nie czuliśmy się osamotnieni. Przybyli nam nowi liczni przyjaciele mieszkający w Kolonii Magistrackiej. Wśród nich Pani Antonina Szostakowska z dziećmi, która podobnie jak my została wyrzucona przez bolszewików zajmujących bardziej eleganckie pomieszczenia w centrum miasta. Przyjacielem z dawnych czasów przedwojennych pozostał pan Poczter – patriarchalny Żyd, właściciel warsztatu i antykwariatu zegarmistrzowskiego, którego często odwiedzaliśmy z Ojcem.

To on właśnie, w tragiczną noc, na początku wojny, z 17 na 18 września 1939 r. w chwili przymusowej przeprowadzki, podjął się chwilowego przechowania naszego srebra. W czasie jednego z kryzysów finansowych wspomógł nas pożyczką, której zwrotu odmówił mówiąc: „Pani Janino, ja już jestem stary, niedługo stanę przed tronem Przedwiecznego – co by On powiedział gdybym ja od Pani znajdującej się w tak ciężkiej sytuacji odebrał pieniądze!” – po czym zaprosił nas

na Paschę w swym rodzinnym gronie. Gdy wkrótce zachorował moja Matka odwiedzała go w domu. Była również na jego pogrzebie.

Tymczasem zupełnie dla nas niespodziewanie zbliżała się zmiana okupanta. Wojnę niemiecko-rosyjską poprzedziło masowe wywożenie Polaków w głąb Związku Radzieckiego. Zaczęto od wojennych uchodźców z polskich terenów zajętych przez Niemców. W zasadzie trudno było się dopatrzeć jakiegoś zaplanowanego systemu dotyczącego ludności wileńskiej. Z pośród znanych mi osób mogę wymienić syna Profesora Mariana Zdziechowskiego.

Ciężarówki z obsadą uzbrojonych strażników zajeżdżały również do Kolonii Magistrackiej. My z Lolkiem Szostakowskim – prawie moim rówieśnikiem – krążyliśmy, uzbrojeni w siekiere i nóż – po okolicznych lasach, bacznie obserwując co się dzieje. I tak zdarzyła nam się niebywała okazja. Z jednej ciężarówki wyszła kobieta w stroju komisarza aby załatwić potrzebę fizjologiczną, akurat pod krzakiem za którym byliśmy schowani. Miałem 13 lat – a przecież przeleciała mi przez głowę myśl: „gruchnąć babę – czy nie ?” Byliśmy już tak zacadzeni okrucieństwem, które nas otaczało, że od zabicia wroga obroniło mnie jedynie przewidywanie konsekwencji jakie mogłyby wyniknąć z tego czynu dla naszych bliskich.

Wybuch wojny 21 czerwca 1941 r. wybawił wilnian od koszmaru wywożenia. Miasto zaczęło być silnie bombardowane i ostrzeliwane przez niemieckie samoloty. Ku naszemu zdziwieniu obrony przeciwlotniczej praktycznie nie było. Zapytani oficerowie radzieccy odpowiadali, że nie ma rozkazu.

Siedząc na drzewach z Lolkiem i naszym starszym kolegą, Jankiem Trzebskim, obserwowaliśmy co się dzieje w mieście. W końcu wpadliśmy na pomysł skonstruowania z koźła do piłowania drewna i długiego drağa makiety armatki przeciwlotniczej, którą zamaskowaliśmy zgodnie ze znany-

mi zasadami sztuki wojennej i z której mierzyliśmy do atakujących Wilno Messerschmidtów i Fockewulfów. Zabawa była znakomita. Orderu Gwiazdy Czerwonej nie otrzymaliśmy, ale nasza makieta wyglądała tak groźnie, że moja Matka – ku naszej rozpaczce – kazała nam ją zlikwidować.

Wieczorem pojawiło się u nas wielu uciekinierów z miasta. Było to przypadkowe, międzynarodowe towarzystwo: Polacy, Żydzi i Litwini. Wśród tych ostatnich umundurowany podoficer z żoną i niemowlęciem.

My z Matką, czuliśmy się bezpieczniej w lesie, dopóki nie natrafiliśmy na jakiś zagubiony oddział radziecki. Ci bardzo młodzi żołnierze byli jednak bardziej przestraszeni od nas, kryjąc się na nasz widok. Pamiętam, że jeden z nich, mimo nasadzonego na karabin bagnetu, schował się pod ogrodowy stół.

Nastała bezsenna noc, którą już nad ranem przerwał hurgot czołgowych gąsienic i serie z karabinów maszynowych. Pobiegłem z ciekawości w kierunku szosy, padając regulaminowo co pewien czas na ziemię. Moja Matka wybiegła za mną nawołując do powrotu. W końcu zostałem przyłapany za piętę, a następnie, korzystając z tego, że umilkły strzały, podczołgivaliśmy się już razem do szosy i ukryci w rowie po raz pierwszy zobaczyliśmy Niemców. A na szosie stał niemiecki czołg z otwartą klapą, a koło niego – kilku mieszkańców Kolonii.

Rozmowa z załogą czołgu miała charakter życzliwy. Jak by nie było, wywiezienie nas na Wschód – oddaliło się. Zmieniając okupanta, „przewracaliśmy się na drugi bok” – tak się ogólnie mówiło.

Pod okupacją niemiecką

Zaraz pierwszego dnia, po zajęciu Wilna przez Niemców, w 1941 r. wyruszyliśmy z Mamą do miasta. Celem wędrowki było dowiedzenie się o losie znajomych nam osób oraz – „za-

hartowanie mnie z widokiem pobojuwiska". Już po drodze zobaczyłem trupy dwóch oficerów sowieckich, zastrzelonych przez ich podkomendnych, żołnierzy litewskich.

Na miejskich rogatkach, zwanych „Pośpieszką”, niemiecki żandarm decydował o wpuszczeniu „podróżników” do Wilna. Biegła znajomość języka niemieckiego mojej Mamy spowodowała, że bez wahania zostaliśmy przepuszczeni. Idąc do centrum miasta, zobaczyłem skutki bombardowania drewnianego mostu, zwanego „Mostem Strategicznym”; żadna z bomb nie uderzyła w most, zburzonych zostało natomiast wiele zabudowań wokół mostu, grzebiąc w swych ruinach – mieszkańców... Wtedy rzeczywiście zobaczyłem pierwszy raz okrucieństwo wojny.

Okupacja niemiecka miała trwać do lipca 1944 r. Na całej Wileńszczyźnie rządził Wehrmacht, z którym współpracowali Litwini. Represje ze strony niemieckiej, w porównaniu z „Generalną Gubernią”, były znacznie mniejsze. Litwinom w większości udało się wrócić do swoich majątków. Represji natomiast doznawali polscy ziemianie na Litwie. Między innymi do opuszczenia swego majątku zostali zmuszeni, jak nadmieniałem wcześniej, państwo Juliuszowie Komorowscy z czworgiem dzieci: Zygmuntem (Zysiem – ojcem obecnego Prezydenta, Bronisławem (Bisiem), Antonim i Anną}.

Trzyletnią okupację niemiecką, której opis chronologiczny byłby moim zdaniem dla czytelnika zbyt nużącym, omówię biorąc pod uwagę pewne ciągi wydarzeń, związane z moją nauką, pracą zarobkową, udziałem w cywilnej obronie przed restrykcjami niemieckiego „porządku” i przygotowaniem się do walki zbrojnej.

Pierwszym posunięciem nowego okupanta było skasowanie polskich szkół. Odpowiedzią było zorganizowanie bardzo sprawnie działającego tajnego nauczania, które jednak nie objęło już młodzieży żydowskiej. Ogólne zachowanie się

Niemców w Ostlandzie, to znaczy na terenach na wschód od Bugu, było łagodniejsze w porównaniu z informacjami jakie docierały do nas z Generalnej Guberni. Dotyczyło to jednak tylko ludności pochodzenia aryjskiego. Wkrótce wprowadzono obowiązek noszenia żółtych gwiazd i rozpoczęto gromadzenie ludności żydowskiej w dzielnicę jeszcze przed wojną przez nią zamieszkałej. Getto położone było w centrum Wilna, wszyscyśmy o tym wiedzieli. I tu trzeba przyznać, że mimo powszechnego współczucia stosunek reszty mieszkańców był w zasadzie bierny.

Gdy dziś myślę o zasadach owej bierności, która zresztą podobnie towarzyszyła deportacji Polaków, dokonywanej przez władze radzieckie, wydaje mi się, że główną przyczyną tego społecznego paraliżu były kolejno przeżywane klęski Aliantów, zajęcie Paryża i bombardowanie Londynu, tak sprzeczne z naszymi nadziejami.

Nieznana jest mi również żadna forma oporu i obrony ze strony prześladowanej ludności żydowskiej. Udział formacji litewskich w tej eksterminacji Żydów przyczynił się niewątpliwie do zaognienia naszej polskiej pogardy w stosunku do Litwinów.

Oto zapis wspomnień z lat nauki w warunkach trwania okupacji niemieckiej, jaki dokonany został po 50 latach:

Na jesieni 1941 r. edukację konspiracyjną rozpocząłem w podwileńskiej Kolonii Magistrackiej. Regularną szkołę (co najmniej 3 klasy gimnazjum) pod przykrywką kursu języka niemieckiego i zajęć katechetycznych w klasztorze oo. Redemptorystów zorganizował superior tego klasztoru o. Frąś. Uzyskanie odpowiednich zezwoleń od władz okupacyjnych ułatwiła o. Frąsiowi jego znakomita znajomość języka niemieckiego. Z nazwisk osób, które podjęły się wówczas nauczania zapamiętałem: p. Helenę Obieziorską (język polski), i p. Janinę Wysocką (matematyka), absolwentkę li-

ceum im. Elizy Orzeszkowej, zdobywającą dopiero szlify nauczycielskie.

Po zakończeniu roku szkolnego otrzymaliśmy świadectwa, z krótką notką charakterologiczną sporządzoną osobiście przez o.Fraśia. O. Fraś cieszył się wśród nas ogromnym autorytetem; cechowały go spokój, odwaga i niebywałe poczucie humoru kolidujące z dość surowym spojrzeniem.

W roku szkolnym 1942/43, na skutek prześladowania kleru, kontynuacja nauczania w Kolonii Magistrackiej musiała odbywać się w domach prywatnych. Do organizatorek tajnych kompletów należały m.in.: moja Matka, Janina z Łosiów Słowikowska, oraz p. Antonina z Lubańskich Szostakowska, nasza najbliższa sąsiadka, podobnie jak my, wyrzucona przez bolszewików z Wilna w 1940 r. z trojgiem dzieci (Mają, Lolkiem i Magušką). Filarem nauczania była, wspomniana już, p. Janina Wysocka. Z moich koleżanek i kolegów zapamiętałem: Maję i Leona Szostakowskich, Basię Górkówną, rodzeństwo Borysewiczów i Jerzego Bezym-Bezimiennego.

W roku szkolnym 1943/44 kurs IV klasy gimnazjalnej (zakończony małą maturą) przerabiałem na tajnych kompletach, których organizatorem była Pani Maryna (z d. Szachno) Zabielska. Pani Maryna była osobą niezwykłą. Reprezentowała typ polskiej Matrony, wszechstronnie wykształconej, władającej obcymi językami, w tym biegle – językiem niemieckim. Ta znajomość języka i władczy sposób bycia robiły piorunujące wrażenie na Niemcach, o czym przekonałem się podczas nocnej rewizji Gestapo dokonywanej w jej mieszkaniu, w którym zamieszkiwałem na tzw. stacji.

Zapamiętałem następujące nazwiska członków grona nauczycielskiego, wykładowców kursu IV klasy gimnazjum i I licealnej: pp. Eugenia Staniewiczowa (jęz. polski), Helena Straszyńska (jęz. Polski), Eugeniusz Dmochowski (fizyka).

Według relacji Jerzego Zabielskiego, w ich klasie przez pewien czas uczył prof. Konrad Górski. Na naukę religii uczęszczaliśmy do ks. Piotra Śledzińskiego.

Z nazwisk uczennic i uczniów wymienić mogę ze starszej klasy: Danutę Michałowską, Krystynę Obrębską, Maję Szostakowską, Jurka Kleina, Zygmunta Rydzewskiego i i Jerzego Zabielskiego – zaś z mojej klasy: Wandę Kulikowską, Hannę Rakowską, Danutę Urbanówną, Jerzego Latochę i Stanisława Zabielskiego.

Dziś, po 50 latach, mogę stwierdzić, że z kompletów u p. Maryny Zabielskiej wyniosłem na tyle precyzyjne ukierunkowanie swoich zainteresowań, że zdecydowało to o dalszym moim życiu profesjonalnym. Wdzięczność moja dla tego tak zacnego i pełnego poświęcenia grona profesorskiego pozostaje niezmienna.

Mieszkanie p. Zabielskiej przy małej Pohulance 18 pełniło wiele funkcji konspiracyjnych. M.in. stanowiło bazę formacji „Wachlarza”. Przebywał w nim przez dłuższy czas Adam Boryczko, pseud. „Brona” (Tońko), był miejscem spotkań Komendy Okręgu (bywał na nich m.in. znany mi, jako przyjaciel z wojska mojego Ojca, Aleksander Krzyżanowski – pseud. „Generał Wilk”), znajdowali w nim oparcie uciekinierzy z Getta (pp. Piasecka, Cholem i Małkiel) oraz odbywało się w nim tajne nauczanie, w którym uczestniczyli trzej synowie p. Zabielskiej : Jerzy, Stanisław i Stefan.

Słabym alibi dla całej działalności konspiracyjnej był prowadzony przez p. Marynę sklep oraz sublokatorka: młoda Litwinka, Brygida, prowadząca podwójne życie: urzędniczki i mówiąc współczesnym językiem, „call girl”, dla urlopowanych oficerów Wehrmachtu. Brigida, mówiąca zresztą bezbłędnie po polsku, odnosiła się z dużą serdecznością do wszystkich domowników przymykając oczy na wszystko co się w tym mieszkaniu działo.

Wracając do wspomnień nauki konspiracyjnej muszę przyznać się że byłem bardzo opóźniony w zakresie nauk ścisłych, do których w dalszym ciągu mało się przykładałem, aż do dnia kiedy Prof. Turkowska, ostrym głosem, przy całej grupie, oświadczyła, że moja osoba opóźnia wszystkim naukę matematyki. Bardzo to przeżyłem i postanowiłem nadrobić swoje zaległości. Po raz pierwszy zacząłem naprawdę świadomie się uczyć. Przerobiłem sam ponownie wszystkie podręczniki gimnazjalne i założyłem zeszyt w którym bardzo starannie wpisywałem twierdzenia i dowody. W ten sposób zdałem sobie sprawę, że wbrew nastawieniu humanistycznemu moich rodziców (miałem iść w ślady mojego dziadka Jana Łosia (Profesora sławistyki na UJ) potrafiłem nauczyć się nie tylko polskiego i historii ale również matematyki, a nawet ją polubić. Na małej maturze miałem już dobre wyniki. Podobnie było z fizyką, co było zasługą znakomitego profesora Dmochowskiego. Wykładał on swój przedmiot w barwny sposób opowiadając nam przebieg i wyniki przeprowadzonych doświadczeń. Po każdym z takich opowiadań kazał nam formułować wnioski, które następnie każdy z nas odczytywał. Celowała w tym moja wielka sympatia – Danka Urbanówna. To właśnie jej wnioski z małymi poprawkami profesora zapisywaliśmy do zeszytów.

Duży wpływ na poziom mojej edukacji wywarła również Pani Helena Straszewska – polonistka. Małą maturę zdawaliśmy komisyjnie – wypadła ona bardzo dobrze. Starannie prowadzony zeszyt matematyki szczególnie długo mi towarzyszył. Koszty mojego kształcenia na kompletach pokryła moja Matka sprzedając pianino. Na pocieszenie dostałem banjo na której uczył mnie grać mój serdeczny przyjaciel Ryś Nowakowski, sam grający na gitarze. Razem stanowiliśmy zgrany duet. Do nauki gry na fortepianie już nie wróciłem zachowując dość dużą umiejętność gry ze słuchu. Nigdy nie marzy-

łem zresztą o karierze muzyka, mimo dużej zachęty a nawet poświęcenia ze strony mojej nauczycielki Pani Janiny Wojewódzkiej.

Po roku normalnej nauki, według przedwojennych polskich programów, zakończonej rozdaniem świadectw, nastąpiło aresztowanie o.o. Redemptorystów i wywiezienie ich do obozu na Litwie Kowieńskiej. Tym prześladowaniem objęte zostały wszystkie zakony z Jezuitami włącznie. Bezpośrednią tego przyczyną były sukcesy kleru wileńskiego w re-kryształizacji, a w ślad za tym, repolonizacji ludności zamieszkującej radziecką Białoruś. Zgodnie bowiem z poleceniem Arcybiskupa Jałbrzykowskiego wielu księży udała się w tej misji na tereny zajmowane przez armię niemiecką.

Byli wśród nich bardzo mi bliscy trzej księża Jezuiści: o. Michalski, o. Sęk i o. Światopełk-Mirski. Pierwszy z nich zmarł na atak serca, przeciążony posługą kapłańską, drugi – ostrzeżony przez swych parafian zdołał uciec przed niemieckim aresztowaniem. Tułając się po lasach trafił do białoruskiej partyzantki radzieckiej. Przyznając się, że jest księdzem uciekającym przed Gestapo został przyjęty z otwartymi rękami. Pozwolono mu na odprawianie mszy a po wycofaniu się wojsk niemieckich i powrót do swej parafii. Przywołany przez arcybiskupa Jałbrzykowskiego do Wilna w celu przygotowania się do ekspatriacji, serdecznie pożegnał się ze swymi białoruskimi przyjaciółmi otrzymując od nich potwierdzenie uczestnictwa w radzieckiej partyzantce.

Zaświadczenie to okazało się dla księdza Sęka bardzo pomocne po wojnie, w czasie przesłuchania przez Urząd Bezpieczeństwa w Szczecinie. Na zarzut śledczego oficera, że jego kazania zawierają elementy wrogie ustrojowi PRL – ten odpowiedział: „Bardzo się dziwię, bo jak byłem w partyzantce radzieckiej to nikt mi takich zarzutów nie zgłaszał”. W odpowiedzi usłyszał: „ksiądz chyba kpi sobie ze mnie”.

„Nic podobnego, otrzymałem nawet zaświadczenie – mogę to pokazać”. Na widok tego skrawka papieru, na którym jedynie pieczętka świadczyła o jego urzędowym charakterze, oficer skrzywił się z pogardą: „Co, taki świstek”! Riposta księdza Sęka była natychmiastowa: „Wobec tego zwrócę się do Ambasady ZSRR informując, że dokumenty wydane przez partyzantkę radziecką nie są honorowane przez Urząd Bezpieczeństwa w Szczecinie”. Taki był koniec przesłuchania, które się już nie powtórzyło.

Ojciec Światopełk-Mirski (syn pułkownika, dowódcy pułku artylerii ciężkiej, w którym, w czasie wojny w 20-tym roku służył mój Ojciec) zginął podczas bombardowania Połocka. To tragiczne wydarzenie równocześnie dobitnie świadczy o zasięgu misji polskich księży na wschodzie.

Mieszkanie w Kolonii Magistrackiej stwarzało możliwości pracy zarobkowej. Jej stali mieszkańcy zajęli się uprawą posiadanych działek, a nawet hodowlą zwierząt.

Zaprzyjaźnieni Państwo Berowscy zaproponowali mi pasanie krowy, co wymagało ode mnie przełamanie naturalnego lęku przed tym rogatym zwierzęciem. Jako pastwisko wykorzystywaliśmy teren przedwojennych wyścigów, na „Pośpieszce”. Podczas pierwszego wypasu towarzyszył mi Lolek Szostakowski, mimo to krowa robiła z nami co chciała. Bohaterką pierwszej pasterskiej przygody była inna wielka brązowa krowa, która zainteresowała się rozłożoną na trawie między mną i Lolkiem szachownicą. Pojawiający się nagle rogaty łeb spowodował naszą gwałtowną rejteradę.

Drugim komicznym wydarzeniem był galop naszego stada krów w ślad za kawalkadą cwałujących na koniach niemieckich oficerów. Ta scena do dziś pobudza mnie do śmiechu.

Pasania krów nigdy nie traktowałem jako despektu i nawet z pewnym zdziwieniem przyjąłem pocieszenie jedne-

go z ojców Redemptorystów: „że król Dawid też rozpoczął swoją karierę od pasania owiec”. O ziemię niczyją, którą było pastwisko, konkurowaliśmy z chłopakami z pobliskiej wsi „Pelemele”.

Pewnego dnia nasze stada się wymieszały i doszło do konfliktu. Naprzeciw mnie stanął mój rywal a dokoła nas zgromadzili się widzowie zachęcając nas do walki. Z łatwością położyłem mojego przeciwnika na obie łopatki, ale zdaniem kibiców nie było to wystarczające. Przyjeliśmy zatem postawę bokserów i wtedy poczułem, że nie mogę się zmusić do tego, aby kogokolwiek uderzyć pięścią w twarz. Na szczęście rozdzielił nas jeden z przybyłych niespodzianie starszych chłopców. Przy następnym spotkaniu mój przeciwnik zrejtrował, a ja przez moich współtowarzyszy zostałem obwołany „księciem pastwiska”.

Następnym etapem mojej działalności zarobkowej była praca w ogrodzie, dzierżawionym przez pana Józefa Trzebskiego. Jego osoba odegrała dużą rolę w moim życiu. Był to postawny mężczyzna z brodą i sumiastym wąsem. Trzykrotnie ranny w kampanii 20-ego roku, odbył ją w kawalerii co mi bardzo imponowało. Miał synów: Zbyszka, Janka i Andrzeja, z którymi się bardzo zaprzyjaźniłem. Natomiast bardzo nie lubił jedynaków co spowodowało szczególnie wnikliwe przyglądanie się mojej pracy. Nieraz od niego oberwałem, ale wytrzymałem głównie dzięki Matce, która umiała trafić do mojej ambicji. Do naszej grupy należeli również dwaj bracia : Zygmunt i Bronisław Komorowscy oraz Maja i Lolek Szostakowscy. Beztroski nastrój panujący w ogrodzie nie zapowiadał naszych dalszych dramatycznych losów.

Efektem pracy ogrodniczej było nagromadzanie zapasów kartofli i warzyw na zimę. Moja Matka dodatkowo zarabiała wypiekając chleb na zamówienie. Najpierw w dużym piecu chlebowym trzeba było spalić grube bierwiona brzozy, a na-

stepnie po rozgarnięciu żaru, układano w nim na liściach kapusty uformowane ciasto. Do wkładania i wyjmowania bochenków służyła drewniana kociuba. Na podstawie pierwszego, wyjętego bochenka wnioskowano o tym, czy wypiek się udał, czy może jest zakalec. Nigdy nie zapomnę smaku tego chleba.

W Kolonii Magistrackiej działało kilka struktur konspiracyjnych znanych mi z doraźnych działań na ich rzecz (kolportaż prasy podziemnej, wyrabianie fałszywych dokumentów itp. Min. działała siatka 5 Brygady Wileńskiej rtm „Szyndzielorza, „Łupaszki” oraz pododdziały garnizonu Wileńskiego, do którego należał Eugeniusz Sargun.

Wraz z Matką uczestniczyliśmy nadal w kolportażu Akowskiej pracy podziemnej i w tak zwanej legalizacji, polegającej na wyrabianiu fałszywych dokumentów dla osób zagrożonych aresztowaniem.

W szczególności w bliskim kontakcie pozostałem również z dowódcą Eugeniusza Sarguna, wachmistrzem, Józefem Trzebskim, który organizował nam szkolenia, a którego dwaj synowie, Zbigniew „Nieczuja” i Jan „Janosik” walczyli i zginęli w 50-tej Brygadzie.

Równocześnie wraz z kolegami staraliśmy się nabyć umiejętności mające nas przygotować do walki zbrojnej. Naszą bronią były roгатki i proce. Z drewnianej roгатki w kształcie rozwidlonego patyka kamyk wylatywał dzięki odpowiednio rozciągniętych pasków. Proca, nazywana w gwarze wileńskiej „praszcza”, służyła do wyrzucania większych kamieni na dużo większą odległość. Umieszczony na skórzanej łacie „pocisk” pomiędzy dwoma sznurkami, wylatywał dzięki sile odśrodkowej, wywołanej ich obrotem, nad głową rzucającego. Wypuszczony w ten sposób kamień wylatywał ze świstem przypominając dźwięki towarzyszące pociskom armatnim.

Bawiliśmy się w podchody, budowanie okopów i oczywiście wojny z zastosowaniem zasad regulaminu wojskowego, do którego miałem dostęp dzięki literaturze fachowej odziedziczonej po Ojcu. Pierwszą batalię przegrałem z kretesem. Powodem było użycie przez przeciwnika „nowoczesnej broni, jaką w naszych potyczkach stanowiły „praszcze”, oraz błąd taktyczny polegający na przyjęciu obrony statycznej. Wyparci z okopów nie byliśmy w stanie przejść do kontrataku. Następne walki przeniosły się na teren opuszczonych domów. Prowodyrem w tych walkach był Janek Trzebski, który w 1944 r. w partyzantce przybrał pseudonim „Janosik”, pasujący do niego „jak ulał” ze względu na posiadaną zręczność i odwagę.

W latach 1941–1944 zaczęły się tworzyć na większą skalę oddziały partyzanckie. Wzrosła również aktywność grup bojowych w samym Wilnie. Wykonane zostały na zdrajcach pierwsze wyroki śmierci na podstawie orzeczeń Sądów Polski Podziemnej. W jednym z tych procesów zeznawała, w roli świadka, moja Matka. Sprawa ta dotyczyła oficera W.P., który podpisał Volkslistę. Wyroki obejmowały również okupantów niemieckich oraz współpracujących z nimi członków formacji litewskich. Pamiętam, że w przygotowaniu zamachu na litewskiego funkcjonariusza – Poradę, brał udział Zygmunt Komorowski. Charakterystycznym epizodem było wyjmowanie naboju z magazynków rewolwerów pozostawionych w kawiarnianych szatniach przez oficerów niemieckich. Ja pośredniczyłem w przekazywaniu tej zdobyczy na najwyższy szczebel – to jest Panu Olesiowi, który objął w tym czasie, jak się później dowiedziałem, stanowisko dowódcy Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego Armii Krajowej.

W 1943 r. losy nasze splotły się z rodziną Magdaleny i Juliusza Komorowskich. W obawie przed represjami Gestapo zmuszeni zostali do ucieczki ze swego majątku, który znalazł się w obrębie wskrzeszonej Litwy. Oni również, jak wielu in-

nych, znaleźli pomoc i opiekę w Kolonii Magistrackiej. Przez 2 miesiące przebywali w naszym domku. Ich synowie Zygmunt i Bronisław (Zyś) i (Biś) należeli do tajnej organizacji. Biś – zaaresztowany przez Gestapo w Wilnie w 1942 r., został rozstrzelany w „Górach Ponarskich” przez wysługujący się Niemcom, oddział litewski. Obecny Prezydent RP „odziedziczył” imię po rozstrzelanym stryju.

Po rozstrzelaniu Bronka (Bisia) najstarszy syn Państwa Komorowskich, Zygmunt (Zyś), również ukrywał się w naszym domku. Po pewnym czasie, za wstawiennictwem mojej Matki i swojej Ciotki Zity, u samego Komendanta Wileńskiego AK - Wilka, powędrował do 6 Brygady AK. Spotkałem się z nim przypadkowo, w Wołkorabiszkach; mój pluton „Radio” stacjonował wówczas w opuszczonym dworze tejże wsi.

Antek, najmłodszy syn Państwa Komorowskich, zaprzyjaźnił się serdecznie z Lolkiem Szostakowskim i obaj, w lipcu 1944r. znaleźli się w plutonie dowodzonym przez P. Józefa Trzebskiego w Kolonii Magistrackiej. Prawdopodobnie ze względu na młody wiek, obydwaj uniknęli aresztowania przez NKWD.

P. Zofia Komorowska, ciotka Zysia i Bisia pod zmienionym nazwiskiem „Majewska” prowadziła nasłuch radiowy komunikatów alianckich nadawanych w różnych językach. Ich treść przekazywana była do Biura Informacji i Propagandy AK (BIP). Dzięki biegłej znajomości trzech języków i umiejętności stenografowania, jej komunikaty były codziennie przekazywane do Konspiracyjnej jej Redakcji. Do dystrybutorów Biuletynu należeliśmy z Mamą. Sprzyjała temu moja wcześniejsza działalność w tajnych strukturach ZHP, występujących w Litewskich Oddziałach Polskich Sił Zbrojnych.

Na jesieni 1943 r. mieszkając na stacji w Wilnie, zorganizowałem wypad w celu zdobycia broni. Okazją była podjęta przez mojego bliskiego kolegę praca w niemieckim szpitalu

polowym – w roli pielęgniarza. Jerzy Bejzym – Bezimien-ny wypatrzył, że broń rannych żołnierzy była deponowana w magazynie do którego był łatwy dostęp przez okno w dachu. Jerzy uznał, że uda mu się wspiąć po rynnach na dach, skąd będzie nam spuszczał na dół po jednym karabinie.

W końcu maja 1944 r., korzystając z protekcji Wilka Krzyżanowskiego, mając już 16 lat, stałem się umundurowanym żołnierzem Armii Krajowej, przyjmując pseudonim „Czupryna”. Sprzyjała temu wcześniejsza działalność w Tajnych Strukturach Polskich Sił Zbrojnych. Decyzja ta dokonała się za pełną wiedzą i aprobatą mojej Matki, która tym samym dotrzymywała obietnicy „że pójde do partyzantki gdy pan Oleś uzna to za celowe”. Ja ze swej strony dotrzymałem umowy, że nie ucieknę z domu wcześniej – i nie uciekłem.

Po kursie terenoznawstwa, i ćwiczebnym samodzielny przejsciu trasy Wilno – Turgiele – Taboryszki – Wilno zostałem skierowany przez „Jagienkę” (Zofię Dąb-Biernacką) do Komendy Okręgu AK w Dziwiniszkach; w dn. 8 lub 9 czerwca, z meldunkami z Wilna meldowałem się u kpt. Stefana Czernika, pseud. „Orwat”. Jako łącznik K.O. przydzielony zostałem następnie do plutonu Radio Dowództwa Okręgu. Bezpośrednim moim dowódcą był ppor. Tulipan, podporządkowany Szefowi Łączności Okręgu, kpt. Orwatowi (Stefan Czernik). Brałem udział w „Akcji na Wilno”.

W lipcu 1944r ujawnił się również pluton zorganizowany i dowodzony przez p. Józefa Trzebskiego.

Po rozbrojeniu partyzantów przez bolszewików, „zadekowaliśmy się” w Kolonii Magistrackiej, gdzie zameldowałem się u kpt. Orwata, Możliwości dalszej walki okazały się jednakże złudne; przed aresztowaniem uratowała mnie moja Mama; kilka dni później wiedzioną intuicją zdecydowała o wyprowadzce. Przenieśliśmy się do centrum Wilna. Utrzymywaliśmy stały kontakt z ocalałą od aresztowania Komór-

ką AK „Legalizacja”. Niemal codziennie roznosiłem fałszywe dokumenty.

W 2 tygodnie po opuszczeniu przez nas Kolonii Magistrackiej przyszło tam po mnie NKWD; grunt zaczynał palić się pod nogami. Jedyłą możliwością opuszczenia Wilna, dającą poczucie bezpieczeństwa, było zapisanie się do Armii Berlinga. Podrobiłem dokument, podstarzając się i zostałem skierowany na wyjazd.

Wychodząc tłumnie przez Ostrą Bramę na dworzec, zatrzymaliśmy się przed otwartymi drzwiami Kaplicy. Pobłogosławił nas ksiądz a my zaśpiewaliśmy „Rotę”: „Nie damy ziemi skąd nasz ród...”. Żadnego z milicjantów na naszej drodze nie spotkaliśmy.

W czasie podróży, w której nawiązałem przyjaźnie, postanowiłem dotrzeć do centralnej części kraju.

I tak zakończyła się nasza, pełna wrażeń, historia przebywania w uroczej i na zawsze zapamiętanej – Kolonii Magistrackiej pod Wilnem.

Przeżycia żołnierskie z tego okresu uzupełniają : załączne legitymacje, oraz zapis „na gorąco” „SZESNASTOLATKA W PARTYZANTCE” (Załącznik 1).

Świadectwem tego jak głęboko „okres wileński” wpłynął nie tylko na stosunek do miasta i jego mieszkańców, ale i na postawę życiową oraz zaangażowanie autora wspomnień jest reakcja na artykuł zamieszczony w „Polityce” nr 39 z 21 – 27.09.2011. Jego fragment zamieszczony został w Załączniku 2.

Dowództwo Oddziałów
ARMII KRAJOWEJ
Okręgów
Wileńskiego i Nowogródzkiego

LEGITYMACJA WOJSKOWA Nr. 00112.

Nazwisko CZUPRYNA
Stopień wojskowy SZER.
Przydział służbowy Plut. Radio DOAK
Data wystawienia 1 czerwca 1944

Podpis Dowódcy

Odcisk palca

M. P.



Selenus

" CZUPRYNA "
Pseudonimy

WILEŃSKI
Okręgi działania

ŁACZNOŚĆ KOMENDY
Kolski jednostki organizacyjne i pełnione funkcje

OKRĘGU

SZEREGOWY
Ostatni stopień w AK

**Światowy Związek
Żołnierzy
Armii Krajowej**



Legitymacja
№ 0066453



podpis

Stanisław SŁOWIKOWSKI
Imię i nazwisko

Stanisława Jerzy
Imiona rodziców

07. 04. 1929 r.
Data urodzenia

WARSZAWA
Miejsce urodzenia

WILEŃSKI - WARSZAWSKI
Okręg wystawiający legitymację

**ŚWIATOWY
ŻOŁNIERZY
ARMII KRAJOWEJ**
data Świdziwisko War. awski
ul. Chłodna
LO-861-W-wa, 201-462
podpis Prezesa

ZAŁĄCZNIK 1.

SZESNASTOLATEK W PARTYZANTCE

Transformacja szczeniaka w żołnierza cwaniaka,
który nauczył się wychodzić cało z różnych opresji
i któremu bardzo trudno było rozstać się z bronią.

Tradycja rodzinna

- Pradziadowie: Juliusz Plocer, Aleksander Słowikowski – 16-stolatki w 1863 r.
- Ojciec: ppłk. Artylerii, żołnierz I Brygady Legionów Polskich.

Konspiracja

- Listopad 1939 r.: organizacje studenckie, kolportaż gazetek, wyrabianie dokumentów (legislacja), nasłuch radiowy
- (Opiekunowie i dowódcy: Aleksander Krzyżanowski – pseudonim WILK i Zita Komorowska – Babka obecnego Prezydenta)

Przygotowania, zaprawa do wojaczki

- Zastęp harcerzy (walki na proce, zdobywanie domków letnich; pierwszy rewolwer w rękę na obstawie, kurs terenówki)

Dorastanie

- 1941 r. – zajęcie Wilna przez Niemców
- 1943 r. – starsi koledzy idą do partyzantki: Trzebscy, W. Sybilski, Leon Piórecki.
- Pierwsze ofiary walk: Bronisław Komorowski, Jasiek Trzeb-ski. Trudna rozmowa z Matką, opieka Aleksandra Krzyżanowskiego.

Kurs terenówki.

Wymarsz

- Pożegnanie z Matką.
- Pierwsza przygoda – wyjazd z Wilna (wiozłem pocztę)

Dziewiniszki

- Musztra i kara – kuchnia polowa – wachmistrze: Wierzba i Brzoza.
- Uroczysty przegląd oddziałów partyzanckich, przestroga wachmistrzów, dostają rewolwer i granat.

Wymarsz

- Wołkorabiszki – kierunek Wolno, stają się woźnicą.

Walka

- Zdobywanie bunkra, pierwsze strzały, ratuję sanitariuszkę, śmierć „Małego”.
- Docieramy do wsi Gory; pierwszy zabity, pierwsze samoloty i Niemcy z tyłu. Silny ostrzał i kontratak.
- Docieram do II-ej linii (zostaję sam, ale nie tracę rezonu).
- Ostrzał z granatników – wyprowadzam 2 wozy z rannymi mimo rozkazu „padnij”.
- Powrót Panika, zostaję sam. Odpada koło, wyprzęgam konia, który mnie kopie – trzeźwieję – dochodzę do wniosku, że muszę wysadzić wóz.
- Następuje uporządkowanie odwrotu – 2 wozy z rannymi.
- Pojawia się On, „WILK”.

Już razem brniemy przez rowy odwadniające, zdobywam rower.

Ostrzał z samolotów; ogarnia mnie wściekłość (na domiar złego odpada mi podeszwa z buta).

Na rowerze rozwożę wodę. Wracam do Wołkorabiszek.

2 tygodnie spokoju

- Pełnię funkcję gońca.

Przestałem bać się samolotów.

Przygoda z upadkiem pod wóz taborowy.

Wyjazd z radiostacją do majątku Rakosice

- Ciągłe próbuję zdobyć nowe buty.

Powrót do Rakosiców – scena z meldunkiem w rozbrajaniu.

Początek rozbrajania

- 2 kromki chleba.

Przewożę meldunek do Wołkorabiszek i nareszcie fasuję buty.

Pomocnik Tulipan każe mi wracać i przyprowadzić radiostację.

Zderzenie porucznika z koniem – ratuje mnie plutonowy Czomberek.

Wracamy tyralierą.

Wymarsz do puszczy Rudnickiej

- Noc – zostawiam rower na wozie i idę w charakterze szerepacza.

Przewożę meldunki z Londynu – odpowiedź – wycofać się na Zachód, unikać starć z ruskimi.

Spotykam łączniczkę – ostrzegam ją (rozkaz).

- Dołączamy do długiego szeregu wozów i maszerujących marszem ubezpieczonym.

Dołączam do patrolu rowerzystów.

Przekraczamy linię kolejową Lidy.

Wchodzimy do lasu – postój.

Plut. Czomberek i ja – gotujemy zupę. Rozwożę zupę.

Latają samoloty.

1 dzień w puszczy

- Krótki odpoczynek i maszerujemy dalej.

Pomocnik Tulipan rekwiruje mi pepeszę dając w zamian krótki....

Zapada noc i idziemy dalej.

Niemy pochód przez puszcę

- 3-cia noc nie przespana; próbuję zasnąć na wozie, ale konsekwentnie zostaję wypędzony przez por. Tulipana. Lituje się nade mną podoficer, który daje mi swego konia.

Koń – zdobyczą na Niemcach – jest niesamowicie wysoki. Wdrapuję się na niego z trudnością będąc objuczony chlebakiem, karabinem i pałkowym granatem niemieckim.

Wyróżniam się wysokością mojej sylwetki, no i mam za swoje, bo rozlegają się głosy, że kilkadziesiąt wozów zostało w tyle. Jakiś oficer rozkazuje mi, żebym pojechał sprawdzić ...

Poranek

- Zostaję wysłany aby poszukać wody i wpadam na sowieckich żołnierzy.

Dobrotliwy bolszewik : „biosaj orazica idi domoj”.

- Wracam – por. Tulipan rozkazuje mi niszczyć sprzęt radiowy.

Otaczają nas młodzi żołnierze radzieccy.

- Zrzucam mundur i z kilku przebranymi przygodnymi żołnierzami ruszamy bezczelnie w kierunku przeciwnym do maszerującej kolumny radzieckiej, pytając się, gdzie tu wazsa komenda, bo jesteśmy białoruskimi chłopami.
- Przypadek z wartownikiem sowieckim pilnującym armaty.

Przypadek z żydowskim policjantem.

- W domu u znajomych śpię 24 godziny.

Załącznik 2.

Jerzy Słowikowski

Prezes „Klubu na Rzecz Europy Środkowo-Wschodniej

Przy Uniwersytecie Warszawskim”

Ul. Pionierów 9, Magdalenka

O5-505 Lesznówola

Email: jerzyslowikowski@wp.pl.

Redakcja Tygodnika Polityka.

komentarz dot. artykułu p. Tomasza Walata (z Helsinek)

pt. „Język Muminków ...” zamieszczony w Tygodniku „Polityka”,
Nr 39 (2826) 21. 09 -27.09 2011.

Prezes i Redaktor Naczelny, Pan Jerzy Baczyński,

Szanowny Panie Prezesie,

Jestem pewien, że tytuł w/w artykułu, a zwłaszcza - użycie określenia „awantura...” musiało szczególnie urazić społeczność polską na Litwie.

Przebywając, w 1951r, w areszcie śledczym Min. Bezpieczeństwa Publicznego, byłem świadkiem sporu n/t tłumaczenie snów, jaki wybuchł pomiędzy dwoma współwięźniami, z których jeden był Niemcem, podoficerem Schutzpolizei, a drugi Żydem o imieniu Froim; ja byłem tłumaczem.

W pewnym momencie Froim machnął ręką i powiedział: „Panie Jurek, jeśli ktoś nie zna się na czymś chociaż na 20%, to niech on w ogóle nie zabiera głosu ...”. Zasady tej przestrzegam do dziś . Natomiast, co do PT Autora w/w artykułu – to mam wątpliwości.

– Obecna sytuacja Polaków na Litwie ma się „nijak” do sytuacji Szwedów w Finlandii, którą, zresztą, autor trafnie scharakteryzował.

Ta ostatnia jest mi dobrze znana ponieważ, przed wojną, z moimi Rodzicami, przebywałem 6 tygodni w Finlandii, na zaproszenie brata mojej Matki, ppłk dypl. Władysława Łosia, który wówczas pełnił funkcję „attache militaire” przy Poselstwie Polskim w Helsinkach, Jego żoną była Saga Sylwin, wywodząca się ze starej, szwedzkiej rodziny, osiadłej w Finlandii i zakochanej w tym kraju.

Jak wiadomo, Finowie przyjęli nazwę swego kraju Suomi – Finland, chociaż Finland jest nazwą szwedzką, a nazwa ich stolicy Helsinki, przed wojną, była równoważnie używana z nazwą szwedzką: „Helsingfors”.

W Finlandii byłem również po wojnie.

Podstawową różnicą między sytuacją Szwedów w Finlandii, a obecną sytuacją mniejszości polskiej na Litwie – jest to, że Polska, de facto, nigdy nie okupowała Litwy. Nigdy też nie podważała faktu, że Wilno było stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego i nigdy nie zmieniała brzmienia litewskich nazwisk. Nigdy też - nie narzucała używania wyłącznie języka polskiego.

Warto przypomnieć, że w początkowym okresie „Unii Obojga Narodów”, urzędowym językiem, na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego, był język ruski i w takim języku wychodziły dokumenty z Kancelarii Królewskiej kierowane do mieszkańców Księstwa. Wychodziły dotąd, dopóki miejscowa szlachta, nie zażądała aby dokumenty były pisane w języku polskim.

Nie zapominajmy, że w rozległym Księstwie Litewskim mówiono wieloma językami, a szlachta na tym terenie, w odróżnieniu od Koroniarzy, nazywała siebie Litwinami. Tradycja ta była na tyle silna, że po rozpadzie ZSRR, obywatele Białorusi, na swym sztandarze narodowym, umieścili znak „Pogoni”. Usunięto go na skutek protestu współczesnej Litwy, a szkoda.

Tak rozumiana, szlachta litewska przyjęła język polski w różnych jego odcieniach gwarowych. Źródłami pięknej, ujednocionej polszczyzny w całym obszarze Wielkiego Księstwa Litewskiego, były jak wiadomo: Uniwersytet Wileński i Liceum Krzemienieckie.

Podkreślić należy, że język polski nigdy nie był narzucany w Wielkim Księstwie Litewskim. Dwujęzyczność, jak opisuje Maria Rodziewiczówna w swej uroczej powieści „Dewajtis”, w XIX wieku, istniała na Żmudzi.

Poczucie odrębności Wielkiego Księstwa Litewskiego od Korony utrzymywało się przez cały okres Pierwszej Rzeczypospolitej. Znamienne są jednak zapisy na pierwszej stronie Konstytucji 3-go Maja: ... **Stanisław August, z Bożej łaski i woli Narodu Król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Kijowski, Woliński, Podolski, Podlaski, Inflancki, Smoleński, Siewierski i Czernichowski, wraz z STANAMI SKONFEDEROWANYMI w liczbie podwójnej NAROD POLSKI REPPREZENTUJĄCEMI.**” (tekst spisany z oryginału Konstytucji Trzeciego Maja: odbitka kserograficzna z oryginalnego egzemplarza Konstytucji..., znajdującego się w zbiorach mego dziadka (prof. Jana Łosia), które odziedziczyłem.

Z powyżej cytowanego tekstu , wynika jasno, że autorzy Konstytucji uznali, iż wszyscy mieszkańcy Królestwa Polskiego i należących do niego Księstw, są Polakami. z tym sformułowaniem postawie Senatu i Sejmu Wielkiego zgodzili się. Litwin zatem miał prawo czuć się jednocześnie Polakiem.

W przewodniku pt. „WILNO” (3-cie wyd. 1937r) opracowanym przez Juliana Kłosa, profesora Uniwersytetu Wileńskiego im. Stefana Batorego, autor pisze min. co następuje: „w połowie XVI wieku, język polski rozpowszechnił się wśród ludności (Wilna – przyp. aut.) wypierając panujące dotychczas narzecze ruskie” ... (koniec cytatu). Istotnie, w gwarze wileńskiej występuje wiele rusycyzmów; nie ma natomiast naleciałości z języka litewskiego. Potwierdza to tezę, iż Wilno zlokalizowano poza zasięgiem języka litewskiego (vide poniżej: - spisy ludności zaczerpnięte z książki: „Historia Polski w liczbach” – wyd. GUS w 1994).

Powiaty objęte przez spis w 1921 r.:
 Brasław, Duniłowicze, Dzisna, Wilejka

Ludność	polska	rusińska	białoruska	niemiecka	żydowska	inne
% ludności	57,9	0,0	37,9	0,0	3,9	2,1

Powiaty nie objęte w/w spisem:
 M. Wilno, Oszmiana, Świąciany, Troki

Ludność	polska	rusińska	białoruska	niemiecka	żydowska	inne
% ludności	68,7	0,0	4,9	0,0	12,3	11,1

Na rzecz obiektywizmu sporządzania w/w spisów przemawia fakt podania danych z innych obszarów wschodnich RP jak np.: Województwo Poleskie – ludność: polska: 24%, białoruska – 42,2%. Województwo Stanisławowskie – ludność: polska – 22,2%, rusińska – 69,8%.

Województwo Tarnopolskie – ludność: polska – 45%, rusińska – 50%, inne – 5%.

Biorąc powyższe pod uwagę, jasne się staje, dlaczego po zajęciu Wilna przez „zbuntowane dywizje” gen. Żeligowskiego, „Sejm Litwy Środkowej” jednogłośnie, (przy trzech posłach wstrzymujących się od głosu) zdecydował o przyłączeniu Wileńszczyzny do Polski.

A więc Józef Piłsudski, tworząc „Litwę Środkową” miał rację, kiedy na wątpliwości gen. Lucjana Żeligowskiego, w czasie rozmowy o konieczności „buntu” dywizji kresowych, odpowiedział: „...bo Wilno, to Polskie Miasto...”. (...)

Magdalenka, dnia 23 listopada 2011 r.

Czasy powojenne

Relacje zawarte w części III-ej, z lat powojennych, nie mają już charakteru ciągłego pamiętnika, jak miało to miejsce w części I i II – ale częściowo – znajdują odbicie w jego bezpośrednim opisie wybranych wydarzeń i przemyśleń, a częściowo – opierają się na znanych mi faktach i wydarzeniach oraz zapiskach zawartych w listach do bliskich i przyjaciół.

Już od 1943 r. istniały na Wileńszczyźnie tereny kompletnie wyzwolone od Niemców i broniący tych terenów przed partyzantką sowiecka. Partyzantów polskich, umundurowanych i dobrze uzbrojonych było nadal około 15 tysięcy. Jak przyszły służby radzieckie, zaczęły w sposób zdradziecki nas otaczać, rozbrajać i aresztować. Działało 10 więzień. W stwarzanych „kotłach” złapani kierowani byli pod sąd. Wyroki wydawał prokurator, który zasądzał i wydawał wyroki; koledze, złapanym na ulicy Wilna, bez żadnych oskarżeń, czy wyjaśnień zasądził z miejsca 5 lat.

Mimo tych represji na Podlasiu obecnymi były nadal struktury partyzanckie; tam też trafił oddział „Łupaszki”. Działaniom partyzanckim sprzyjała ludność tego regionu nastawiona patriotycznie, toteż ci, którym udało się przedrzeć z puszczy Rudnickiej, tam docierali.

Mnie razem z Mamą trzeba było z Wilna uciekać. Zarówno pełniona służba w tajnych strukturach AK jak i służba żołnierska u Gen „Wilka”, sprawiła, że ja szczególnie byłem uważany, mimo młodego wieku, za niebezpiecznego. Dzięki intuicji mojej Matki i ostrzeżeniom opuściliśmy mieszkanie;

krótko po podjętej przez nas decyzji, jak się później okazało, po mnie przyszli.

Moje pożegnanie z Wilnem odbyło się poprzez Ostrą Bramę, w której księża pobłogosławili naszą grupę wojaków w cywilu na drogę. Zaśpiewaliśmy Rotę. I tak opuściliśmy ukochane Wilno, idąc w nieznane.

Zapadła decyzja wyjazdu do Polski Centralnej, w której, jak sądziliśmy, jest łagodniej, Powstało pytanie jak wyjechać z Wilna? Nie było jeszcze transportów repatriacyjnych, zdecydowaliśmy więc że włączę się do armii Berlinga. W armii tej niesłychanie przychylnym był, znany nam płk. Majewski. Aby być przyjętym, sfalszowałem dane personalne – byłem bowiem wciąż za młody.

Pociągiem dojechaliśmy do Białegostoku. Tu umundurowano nas. Jechaliśmy dalej. Jak długo jednak można było w tym wojsku wytrzymać, w którym oficerami byli Rosjanie nazwani przez nas „popami” (pełniący obowiązki Polaka)? Trafiliśmy w końcu do Łowicza. W Łowiczu, w nocy, budzą nas alarmem i, rozdają ostrą amunicję. Idziemy na obławę, jesteście poinformowani, że Niemcy uciekli z więzienia. Lokalna społeczność uświadamia nam jednakże, że nie są to Niemcy tylko Akowcy. W tych warunkach powiedzieliśmy sobie, że „trzeba zwijać manatki”. Razem z kolegą, z którym od początku organizowaliśmy się w dezercji, uciekliśmy. Na szczęście przed złożeniem przysięgi.

Myślałem wówczas o możliwości schronienia się u rodziny pod Mińskiem Mazowieckim I tak doszliśmy do pociągu, którego bieg nie był nam znany.

Rozważaliśmy 2 możliwości – jeśli pojedzie do Białegostoku – wstępujemy do partyzantki, jeśli do Mińska Mazowieckiego – zatrzymamy się u rodziny, gdzie mogliśmy się schronić. Okazało się, że pociąg jedzie do Brześcia, a więc przez Mińsk Mazowiecki.

Teraz należało wyrobić sobie papiery. Pomocną w tym względzie okazał się Oddział AK w Warszawie. Dostałem metrykę z datą urodzenia 1929 r. na podstawie której, już później, wyrabiałem fałszywe dokumenty, na których jestem przez całe życie. Mam przedstawione imiona, zmienioną datę urodzenia i miejsce urodzenia. Korzystając z rady mojego wuja, z amnestii jaką ogłoszono wkrótce, nie skorzystałem.

Teraz co robić dalej ... o decyzji zdecydowała moja Matka. Razem pojechaliśmy do Torunia. Tam od razu spotkałem się z członkami konspiracji wileńskiej ze struktur legislacyjnych. Struktury te funkcjonowały w Wilnie bardzo dobrze. O jej skuteczności świadczyły wówczas ważne w obiegu dokumenty świadczące o tym, że dominującą większość mieszkańców Wilna stanowili ludzie po 40 roku życia albo młodzież poniżej wieku poborowego.

Przyszedł maj – wojna skończona. Nam naiwnym zdawało się, że przyjęte ustalenia pokojowe mają charakter tymczasowy i nadal kontynuowane będą działania zbrojne Amerykanów i Brytyjczyków ze Związkiem Radzieckim. Nic takiego nie nastąpiło.

Co robić... nadal przecież jestem w konspiracji. Jeżdżę i nawiązuję kontakty, zaczynam jednak wątpić w sens jakiegokolwiek dalszego działania i uświadamiam sobie że zaistniały stan zapowiada się na długo. Podobnie zaczęli myśleć również moi wileńscy koledzy. Jest odezwa „Radosława” aby zaprzestać konspiracji. Decydujemy się na przedstawienie – podjęcie pracy organicznej.

Wracam do Białegostoku dla odebrania świadectwa małej matury z Wilna. Tu spotykam się nieoczekiwanie z kolegą, z którym uciekłem z armii Berlinga. Zaproponował, pójdzie do lasu, do którego zwerbował już dziesięciu innych. Okazało się, że jest to NSZ. Tradycje związane tym z ugrupowa-

niem (Polska dla Polaków) były mi jednak zupełnie obce. Nie dołączyłem.

Wróciłem do Torunia, z którego podjęliśmy wraz z Matką, decyzję wyjazdu do Łodzi.

Muszę nadmienić, że z partyzantki wyszedłem bliski partii socjalistycznej; mój wuj, w swoich pamiętnikach z 20-ego roku napisał: rola szlachty się skończyła kiedy musiała zwrócić się do całego społeczeństwa o pomoc; tym samym traciła przywileje. Toteż ja chowany byłem raczej w duchu socjalistycznym.

Rzemieślnicza Łódź do której przyjechaliśmy, znana była z rzetelnej pracy, podobnie jak górnicy na Śląsku. Po wojnie zyskała liczną ludność napływową, o różnych tradycjach i stosunku do zaistniałej rzeczywistości politycznej.

Robię drugą licealną, ale kontakty konspiracyjne nie dają o sobie zapomnieć. Z kolegą z ławki zostaję zwerbowany do organizacji, która kierowaną jest przez generała Kopańskiego, z ramienia Rządu Londyńskiego. Celem organizacji była likwidacja Polaków, agentów NKWD. Dostaję zlecenie znalezienia i rozpoznania określonej osoby. Pod pozorem Karty Poszukiwania Rodzin, wyszukuje nazwisko i idę pod wskazany numer; zastaję poszukiwanego. Przekazuję wykonanie zlecenia u dowódcy i na zapytanie co dalej – uzyskuję odpowiedź, że się okaże: Jest możliwe, że konieczną będzie jego „likwidacja”.

Przyznaję, że po trudnych wcześniejszych doświadczeniach partyzanckich prawdopodobieństwo zabicia człowieka nie budziło we mnie większych emocji. To jak na wojnie. Do sprawdzenia się jednak w zabiciu człowieka jednak nie doszło; władze komunistyczne wpadły na trop organizacji i ją zlikwidowały. Z zastawionej zasadzki grupa zwiadowców, której byłem członkiem, uszła szczęśliwie cało. Sam dowódca, gen Kopański, uciekł za granicę. Skończyła się moja działalność konspiracyjna.

Podajmuję studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Łódzkiej. Rodzi się pytanie ? Dlaczego Politechnika i dlaczego Wydział Elektryczny?

Moje rzeczywiste zainteresowania (śladem dziadka, Jana Łosia, Profesora slawistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim) oraz tradycje rodzinne walk wolnościowych sprawiały, że były to historia i wojskowość. Kończąc jednak gimnazjum i będąc świadkiem represji, jakie dotykały moich bliskich, a niemalże mnie również, świadczyły, że żadnego z tych zainteresowań nie będę mógł rozwijać. Neutralnymi politycznie i możliwymi do realizacji, z pożytkiem zarówno dla siebie jak i innych, pozostawały studia techniczne, a więc Politechnika. Brak zdolności rysunkowych, zdecydował ponadto o wyborze studiów na Wydziale Elektrycznym, na którym rysunku technicznego praktycznie nie było.

W Łodzi aktywne działa duszpasterstwo, Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Juventus Christiana” prowadzone przez Ojca Tomasza Roztworowskiego, postać słynną ze swojej działalności; jezuita, muzyk-pedagog, harcerz, żołnierz AK, uczestnik obrony Lwowa i Powstania Warszawskiego. Duszpasterstwo to, stworzone przez Ojca Szwejnica przy Kościele św. Anny, w okresie międzywojennym, stało się najprężniejszą katolicką organizacją Akademicką w Warszawie. Przeniesienie Ojca Tomasza Rostworowskiego do Łodzi pozwoliło na rozszerzenie jego działania na nowoprzybyłą ze wschodu młodzież. Forma współpracy z młodzieżą, była niezwykle otwartą i nie wymagała nawet deklaracji przynależności do kościoła katolickiego. Włączam się do Stowarzyszenia. Dyskusje w spotkaniach są bardzo ciekawe, ja ze swej strony należę do antyklerykałów.

Szybko okazuje się jednakże, że organizacja tego rodzaju jest uznana przez władzę ludową za szczególnie niebezpieczną. Po licznych aresztowaniach i przesłuchaniach, organiza-

cja zostaje zlikwidowana. W latach 60-tych podjęty zostaje Proces Beatyfikacyjny o. Tomasza.

Zaczynam studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki ale i tu spotykam się z zainteresowaniem moją osobą. W tych warunkach nadal czuję oddech bezpieki na swoich plecach. Na 3-go Maja w czasie manifestacji dochodzi do strzelaniny, zastrzelono studentkę. Ciało zabrano do NKWD co spowodowało wielkie poruszenie w mieście. Przechodzący obok mnie łodzianin, robi uwagę: to czerwona Łódź, a strzelają do młodzieży?

Przenoszę się do Warszawy; szczęśliwy zbieg okoliczności sprawia, że dostaję lokum w Związku Młodzieży Chrześcijańskiej, YMCA (Young men`s Christian Assosiation), którą jakoś toleruje władza ludowa. Dołączam do elity intelektualnej, znajdującej w YMCA schronienie. Zalicza się do nich m.in pisarz Tyrman, znany rysownik Kobyliński, i cała plejada interesujących osób. Oczywiście – wszyscy jesteśmy pod czujną obserwacją.

Nie budzi bowiem zaufania ani styl życia ani ubiór, chodzimy bowiem w ofiarowanych nam przez organizację, mundurach wojsk amerykańskich typu battledress.

Pojawia się dwóch bardzo interesujących kolegów: jeden z nich – Tomek Rozman, który pochodził z okolic Chełma, z ziemiańskiej rodziny, który chodził do szkoły, do której chodzili również emigranci ze Wschodu, zaakceptowani przez komunistów i wciągnięci w polityczne struktury organizacyjne. Okazało się bowiem, że Polska Ludowa nie powstała w Lublinie ale właśnie w Chełmie; Tam bowiem było dużo ludzi „niepewnych”, nie związanych z ruchem patriotycznym, i tam właśnie tworzyły się pierwsze zręby Urzędu Bezpieczeństwa. Z jego szkolnej ławki powyrastali dygnitarze tego Urzędu, którzy go w YMCA odwiedzali, co wskazywało, że „ma kontakty”.

W YMCA zamieszkał z nami również Sławek Fila, syn pułkownika przedwojennego, który nabrał do mnie zaufania i zdradził mi, że jest ciągle w czynnej organizacji podziemnej. Jego postawę bardzo krytykowałem. Trwanie bowiem tej organizacji wymagało zdobywania pieniędzy, które uzyskiwano z napadów na banki. Co najmniej dwuznaczną stała się więc ich działalność patriotyczna. Wyrażana przeze mnie krytyka dała podstawę do przedstawienia propozycji, abym ja właśnie wpłynął na zaprzestania działania, przeprowadzając rozmowę z dowódcą, przebywającym w Krakowie. Podjąłem się tej misji. Znajdując pretekst, wizyty u znajomej, pojechałem do Krakowa. Na moje szczęście do spotkania nie doszło.

Mieszkając nadal w YMCA, podjąłem kontynuację podjętych w Łodzi studiów, na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Będąc na 3-cim roku zostałem asystentem z Podstaw Elektrotechniki, okazało się bowiem że mam zdolności organizacyjne. Profesor, Lech Jakubowski, który był przedwojennym komunistą, a obecnie dziekanem, okazał się człowiekiem bardzo porządnym: służył pomocą studentom w trudnych sytuacjach, nawet bez względu na przekonania polityczne. Nie mając czasu na zajmowanie się prowadzeniem dziekanatu zwał wszystkie czynności organizacyjne na mnie. Udało mi się to prowadzić (nigdy tak wiele osób nie kłaniało mi się jak wówczas!).

Wytwarza się atmosfera spokoju. Nagle pojawia się w YMCA młody chłopak, który zabiega o moją przyjaźń, ale jednocześnie ostrzega: mówiąc – „Słuchaj ja jestem komunistą, wiernym Polsce Ludowej i gdybym natrafił na kogoś kto ją zdradza, to bym go wydał”. Ta deklaracja mnie zastanowiła. Nagle zaczęły mi ginąć zapiski osobiste i wspomnienia z mojej szafki przy łóżku... Początkowo nie mam żadnych podejrzeń, kładąc zaistniałe straty na karb swojego roztargnienia.

Spotykam się ze starszym panem, moim serdecznym przyjacielem, jeszcze z okresu pobytu w Łodzi, który mnie zaprasza do siebie, do Radości, gdzie mile spędzamy czas. Jest 1951 r. W nocy przyjeżdża UB. Rewizja, przy mnie znajdują sporo różnych rzeczy, które miały zapoczątkować pisanie pamiętników. Zabierają mnie. Przyjeżdżamy do Urzędu Bezpieczeństwa, które się mieści na rogu Koszykowej i Alei Ujazdowskich; prowadzą do wydzielonego pokoju, w którym mnie pozostawiają.

Zaistniał niesamowity zbieg okoliczności: jeszcze w czasie wojny śniło mi się, że złapali mnie Niemcy, jestem aresztowany i przez okno pokoju, w którym przebywam, widzę 2 wieże kościoła; które oświetla wschodzące słońce. Tego dnia mają mnie stracić; mam być powieszony. Siedząc obecnie w pokoju odwracam się do okna i widzę ten sam obraz. Widok ten mnie zmroził.

Zaczyna się śledztwo. Podchodzi jegomość o bardzo nieprzyjemnym wyglądzie i zwraca się do mnie patetycznie: „No, słuchajcie Słowikowski, trzeba sobie powiedzieć – wpadłem, teraz tylko muszę mówić prawdę, i tylko prawdę, zobaczcie ile zgromadziliśmy na was dokumentów!”. Otwiera szafę i pokazuje 2 grube segregatory wypełnione dokumentami. To mnie rozśmieszyło: 20-letni chłopak i tyle donosów? Uśmiechnąłem się, to go rozżłościło. Wpada naczelnik wydziału, obaj, niestety, pochodzenia żydowskiego. Mój brak przyznawania się do czegokolwiek wywołuje atmosferę podrażnienia, obaj zaczynają krzyczeć, i wydawać rozkazy wykonywania przeze mnie różnych ćwiczeń; będąc wygimnastykowanym nie sprawiają mi jednakże bólu. Ponownie domagają się przyznania do winy. Śledztwo trwa 24 godziny. Przedstawiają mi przebieg „procesu generałów” (Tatara, Mosula i in, posądzonych o zdradę), jaki się odbywał w tym właśnie czasie. Opisywano, jakie to

kary spotkały oskarżanych: padały wyroki 15 lat oraz wyrok śmierci.

Wśród rzeczy osobistych znajdują pudełko, w którym zawarty jest projekt statutu jaki przygotowywałem na uczelni dla tworzącej się organizacji związków zawodowych. Ono też staje się przedmiotem oskarżenia.

Pod koniec, już nad ranem, zabierają mnie do celi. W windzie jaką zjeżdżaliśmy do celi mieszczącej się w piwnicy, obecnym jest skatowany więzień. Jest to widok przerażający.

Wprowadzają mnie do celi. Tam, starszy pan z siwą brodą, który skojarzył się mi z typowym sybirakiem, zapytał jaką ja mam przeszłość, Moja odpowiedź na stawiane pytania – to, że mówiłem tam na górze prawdę, ale nie całą prawdę. Pisało się bowiem w śledztwie kilkakrotnie życiorys, a w ten sposób unikało się pomyłek. Opinia starszego pana z celi wskazywała, że życiorys, jaki przedstawiłem spowoduje skazanie mnie na co najmniej 15 lat. Dla młodego człowieka taka wizja to było niemal całe życie.

Dalsze pouczenia jakie uzyskałem, to, że nie powinienem się denerwować i przygotować się na dłuższy pobyt, bo śpieszy to się tym na górze. Oni bowiem muszą sprawę zakończyć. Radził przeciągać to śledztwo, starać się być spokojnym i wolno mówić.

Kim był ten Pan? Był to Jarosław Jaworski, postać historyczna, występujący w filmach o powstaniu warszawskim, były delegat rządu Londyńskiego na Kraj przy strukturach cywilnych Armii Krajowej.

W dalszych z nim rozmowach pada pytanie za co zostałem zaaresztowany. Znane są mu bowiem przykłady prowokacji. Przykładem był Doboszyński, skrajna prawica, Narodowa Demokracja, który przed wojną, w ramach demonstracji antyrządowej organizował powstanie, tzw. powstanie w Myślenicach. Zajął starostwo, Urząd Miejski, i inne urzę-

dy. Wojsko to otoczyło i wszyscy skapitulowali. Znalazł się na emigracji. Tam go namówiono, żeby przyjechał do Polski i zaczął tworzyć organizację podziemną. Zgodził się. Okazało się, że od początku była to prowokacja Urzędu Bezpieczeństwa. Gdzie nie zajechał występowały aresztowania. W toczonym przeciwko niemu śledztwie chodziło o wykazanie jak sanacja źle rządzi; jak samowolnym zamachem można sparaliżować miasto. Był to tzw. proces Doboszyńskiego; on sam skazany został na karę śmierci. Wyrok został wykonany. Jeszcze przed aresztowaniem odwiedził pana Jaworskiego, co stało się wystarczającym powodem jego skazania, najpierw na dożywocie, a potem – w drodze łaski – na 15 lat więzienia.

Przesłuchują mnie przez tydzień; ciągle nie wiem o co chodzi. Po 3 dniach w zostawionym w celi wycinku gazety czytam, że dokonany został przez tajną organizację wyrok śmierci na aktorze, Martyce. Tenże bowiem, mimo że był w AK wileńskim, zmienił swój światopogląd i w audycjach radiowych „fali 49”; razem z Marią Odolską, szkalował wszelką działalność związaną z Polską przedwojenną i organizacjami podziemnymi. On sam mieszkał na ulicy Szucha, nota bene w obszarze pilnowanym przez UB. Przedstawiciele tajnej organizacji zdołali się przedrzeć, odczytać wyrok i zastrzelić go. Służby bezpieczeństwa dostały szału. W tej sytuacji, jak się teraz domyśliłem, podejrzewano mnie o możliwość współudziału w dokonanej akcji.

W dalej prowadzonym systematycznie śledztwie dopytywany jestem również uporczywie o Koźlińskiego, kolegę z okresu wileńskiego, który, po zakończeniu wojny stał się nieoczekiwanie komunistą, co nie przeszkadzało, że wziął ślub kościelny. Ja na początku w swych zeznaniach o nim nie wspominałem, gdy jednak w dalszych zeznaniach wymieniłem jego nazwisko, podło podejrzenie nowej tajemnicy.

Zdołałem jednakże przekonać śledczych, że był to kontakt osobisty, związany wyłącznie z jego ślubem.

W miarę jak upływa czas, orientuję się, że oni tam na górze, wiedzą o mnie wszystko, byłem bowiem, przed aresztowaniem, cały czas śledzony.

Po dwóch tygodniach przychodzi naczelnik wydziału i mówi do mnie: „No słuchajcie Słowikowski, macie alibi; wiecie o co jesteście oskarżeni?” Odpowiedziałem – „wiem – o udział w zabójstwie Martyki” A skąd wiecie? Z gazety, którą pozostawiliście w celi”. „No, to będziemy sobie jeszcze rozmawiać”.

Jak w każdej tragedii występują wątki komizmu. Pozwolę sobie je wprowadzić.

W więzieniach tradycją jest, że najmłodszy więzień jest celowym; składa każdego dnia meldunek w imieniu wszystkich więźniów czy jest ktoś chory, czy ma inne potrzeby możliwe do spełnienia przez służby więzienne. Tu trzeba powiedzieć, że w celi było nas więcej. I tak wymienię 2 z nich: Żyd, Efraim Fridel, oskarżony o nielegalne kontakty i Niemiec, oficer Schulzpolizei, zamieszany w proces gauleitera Kocha Tenże – był mordercą Żydów, jednocześnie człowiekiem, który wiedział, gdzie jest schowana bursztynowa komnata. Jego pobyt w więzieniu miał umożliwić uzyskanie wiadomości o komnacie, na której władzy radzieckiej bardzo zależało; więzień jednakże, udając ciężko chorego, unikał procesu.

Fryc Frydel był małym o smutnym spojrzeniu zapłakany człowieczkiem, Gdy został wprowadzony – ja jako ten celowy – zacząłem domagać się zaprzestania płaczu i rozebrania się. W odpowiedzi usłyszałem pytanie: „Czy całkiem”? Nowoprzybyły więzień nie udawał, był naprawdę gruźlikiem, na co wskazywał kaszel, uporczywy i trudny do zniesienia zarówno przez więźniów jak i śledczych. Każde

przesłuchanie przerywała seria kaszlu, którego nie wytrzymało, wracając więźnia powrotem do celi.

Historia Fryca była rzeczywiście tragiczna: jego rodzina mieszkała w Prusach Wschodnich; po wejściu Rosjan jego żona i 2 córki zostały zgwałcone przez żołnierzy radzieckich a syn zginął na wschodnim froncie. On sam znający wielu „z tych na górze” nie miał szansy szybkiego wyjścia.

Naszymi opiekunami, „klawiszami” byli komuniści polscy z Francji, uczestnicy partyzantki jaka działała w tamtym terenie. Ponieważ byli ideowi – zostali ściągnięci do Polski; a ci nie wiedzieli co się tu dzieje. Jako zaufani, zostali zaangażowani jako służba więzienna. Byli to inteligentni chłopcy; i bywało, że okazywali pomoc więźniom.

Dołącza do nas jeszcze wilniuk, którego natychmiast poznaję po akcencie. Jest nas w końcu siedmiu.

Osoby wierzące modlą się każdego rana. Obecny Niemiec wyróżnia się znakomitą znajomością Biblii. Denerwuje go, że Żyd się nie modli. Na moje pytanie przetłumaczone i skierowane do rozmówcy otrzymuję odpowiedź: „Panie Jurek, Efraim tu jest na ziemi, Pan Bóg tam wysoko; Pan Bóg ma swoje interesy, Efraim – ma swoje. Co mały biedny Efraim będzie zawracał głowę Panu Bogu swoimi interesami”.

Któregoś dnia wybucha awantura między Niemcem a Żydem: Niemiec wyczytuje z Biblii o przejściu Żydów przez Morze Czerwone, Żyd siedząc w kacie, mówi do siebie: „nie było żadnego przejścia przez Morze Czerwone”. Niemca uwaga ta wzburza; przecież jest napisane w takim i takim wersecie Biblii. Obaj zaczynają na siebie krzyczeć. W końcu Efraim macha ręką i mówi: „Panie Jurek, po co oni mieli przejść przez Morze

Czerwone, oni przeszli po brzegu a tylko napisali że przeszli przez Morze Czerwone, żeby taki głupi Niemiec w to uwierzył!”.

Któregoś dnia mam wręcz idiotyczny sen: jest wiadro więzienne, na nim koc i 2 jajka. Jedno jest zgniłe a drugie ja mam wysiedzieć. Obok mnie stoi Matka. Ja wstaję z tego wiadra i mówię do Mamy: „Chyba z tego jajka nic nie będzie”.

Zgodnie ze zwyczajem więziennym rano opowiadam o śnie. Niemiec wypowiada się, że jajka to bardzo niedobrze. Są to donosy i oskarżenia. Siedzący w kącie Frejm zwraca się do mnie: „Panie Jurek, jeżeli ktoś nie zna się na snach co najmniej w 20% procentach to niech nie zabiera głosu. Ja Panu powiem, te jajka to rzeczywiście są donosy i oskarżenia, ale ponieważ Pan wstaje i mówi Mamie, że nic z tego nie będzie – pan szybko wyjdzie”.

Czas biegnie. Dla wzbudzenia strachu i niepokoju do celu wprowadzani są dziwni nowi lokatorzy – więzień zmaltratowany oraz ubek z celi sąsiedniej, w której, jak się dowiaduję, przebywa mój kolega z pokoju w IMCA, który wie więcej niż ja zeznawałem dotychczas i może więcej powiedzieć. Zdecydowałem przyjąć, że jest lojalny i nic ponadto co mówiłem, nie powie.

Na kolejnym etapie śledztwa dowiaduję się, że mimo braku dowodów uczestniczenia w zabójstwie Martyki dostanę 5 lat. Ale jak podpiszę przedstawiony mi papier – zostanę natychmiast zwolniony. Na stole leży do podpisu papier i moje rzeczy. Pokusa jest bardzo silna a gra o wysoka stawkę. Nie brałem pod uwagę opcji podpisu, ale również pomyślałem sobie, że nigdy nie będę oskarżał nikogo, kto podpis taki złoży.

Odpowiedziałem ze się zastanowię i wróciłem do celi. Po nocnych rozmyślaniach i modlitwie, rano, na kolejnej rozmowie i ponowne pytanie o podpis – odpowiedziałem, że nie podpiszę, bowiem mój podpis świadczyłby, że czuję się winny, a ja nie czuję się winny.

Ta odpowiedź zaskoczyła śledczych; po kolejnych 2 tygodniach, w sumie 2 miesiącach pobytu w więzieniu, zostałem wypuszczony.

To jednak nie koniec. Wychodząc bowiem z budynku przeszedłem koło grupy agentów, którzy bacznie mi się przyglądali. Następnego dnia, w trakcie śniadania, jakie jedliśmy w grupie kolegów, w barze mlecznym, przy sąsiednim stoliku usiadło dwóch „towarzyszy” znanych mi z pobytu w więzieniu, podsłuchujących naszą rozmowę.

Odwiadam w Radości przyjaciela, którego nie zastaję, a od jego siostry dowiaduję się, że wszyscy jego mieszkańcy zostali zaarrestowani.

Przeżywam znowu ciężką noc nie wiedząc co robić. Na szczęście nic się nie dzieje. Nadal jestem śledzony. Po powrocie do YMCA dowiaduję się o aresztowaniu nielegalnie działającej grupy młodzieży, której członkami byli min. jej mieszkańcy.

Wróciłem na uczelnię.

Na asystenturze już mnie nie zatwierdzili, ale prof. Jakubowski pomógł w zatrudnieniu mnie w Instytucie Elektrotechniki.

Nadal jestem jednak obserwowany. Ostatnią próbą jest po 5-ciu latach pracy w Instytucie mój służbowy wyjazd na Targi do Lipska; przejeżdżamy przez Berlin, razem z kolegami. Przechodzimy z Berlina wschodniego – szarego i smutnego – do zachodniego, barwnego, tętniącego życiem. Może, uciec? Pokusa jest duża; nie decyduje się.

Jak wspomniałem w części I „Wspomnień...” na decyzję pracy w Kraju wpływ wywarł mój wuj zmuszony do pozostania za granicą ze względu na pełnione funkcje publiczne. Pozostałem tej decyzji wierny przez całe swoje życie.

Przytaczam tutaj fragmenty tego listu:

Piszę do Was po raz pierwszy prawdziwy list! Nie jest to łatwo – tyle myśli ciśnie się na raz i tyle chciałoby się Wam powiedzieć (...)

Od dawna zazdrościłem Wam, że pozostaliście w kraju. Zdawałem i zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że jeżeli można coś uczynić dla Ojczyzny, to tylko tam a nie tu lub gdziekolwiek indziej. Jestem już dostatecznie stary i nawet nie byłoby mnie żal rozstawać się z życiem – nie chciałbym jednak rozstawać się z życiem za zbyt małą cenę. Przez cały czas usiłuję zdać sobie sprawę z idei, które się ścierały które nadal się ścierają, nie tylko u nas, ale i na całym świecie. Często zadawałem sobie pytanie, czy my przodujemy w czymkolwiek, czy też wleczeni się w ogonie narodów. Martwiło mnie i martwi, że „patriotyzmem” jest już nie miłość do własnej Ojczyzny, ale właśnie nim musi być nienawiść do innych (...).

Pomimo wszelkich złudzeń, okazało się, że jesteśmy nadal w tej samej sytuacji, co i za dawnych czasów, że z kosami w ręku, trzeba było zdobywać armaty. Czyja w tym wina? Czy warto się nad tym zastanawiać? Trzeba myśleć o przyszłości – a nie o tym co było a nawet nie o tym co jest obecnie. Trzeba mieć w sobie wiarę, która przyświecać będzie w najciemniejsze noce i trzeba mieć w sobie miłość, która zamieni największe poświęcenie w radość. Wierzę więc, że ludzkość odnajdzie wiarę i zrozumienie dla uczuć innych. Kocham tak bardzo swoją Ojczyznę, że jestem zdolny do największych poświęceń – ale nie mogę w sobie odnaleźć uczuć nienawiści, bo wiem, że nienawiść budzi nienawiść i nigdy zemście końca nie będzie (...).

Stwierdziłem jednak i twierdzą, że Polacy powinni pozostać w kraju, bo jeżeli wszyscy lub prawie wszyscy wyjadą, to Polska przestanie istnieć. W najlepszym razie rozproszylibyśmy się po świecie – tak jak Żydzi i tak jak Żydzi bylibyśmy pozbawieni tego co w dzisiejszych czasach przecież tak dla wielu ludzi jest najdroższe-

go – własnego narodowego państwa. Byłem więc dumny z tego, że właśnie Wy nie chcieliście skorzystać z możliwości wyjazdu i że zostaliście na łasce losu w kraju. Zazdrościłem Wam i byłem z Was dumny (...).

Wiercie mi, że bardzo pragnąłbym mieć Was przy sobie. Może nie jest to żadną przesadą, że naprawdę tęsknię do Was, Już mi Was brak w życiu, że brak możliwości wypowiedzenia właśnie Wam, swoich myśli, że tak bardzo chciałbym abyście mogli nacieszyć się czysto materialnym dobrobytem życia – ale kiedy myślę o Was, to jednak pragnąłbym, abyście mogli pozostać w kraju. Młodzi znajdą sobie możliwości życia w każdych warunkach pracy. Trzeba tylko, żeby chcieli pracować, kochali pracę i żeby tej pracy się nie bali. Trzeba być rozważnym i szanować i krew i życie aby go nie sprzedać zbyt tanio i zbyt lekkomyślnie

(...).

To nie ja nie chcę do Was wrócić – są tacy którzy nie chcą żebym ja do kraju wrócił (...).

Was życie pchnęło w innym kierunku. Wam grozi konieczność pogodzenia się, lub może tylko godzenia się z inną „orientacją polityczną”. Wiem, że dusze Wasze pozostaną czyste. Wierzę w to, że pomimo wszystko z tego tragicznego zjawiska podziału społeczeństwa na walczące ze sobą obozy, wyrośnie jedna i prawdziwa Polska. W 1914 roku dzieliły nas tylko obce mundury – dziś może dzieli nas jeszcze coś więcej – wierzę jednak, że wszystko to nie będzie stanowić żadnej przeszkody, że jak przyjdzie dzień święta – to odnajdziemy się wszyscy, jak dzieci jednej rodziny (...).

W tym miejscu także przedstawię wspomnienie dotyczące rozmowy, jaką przeprowadziłem z gen Fieldorfem-Nilem, w odpowiedzi na artykuł, jaki ukazał się w 1990r. w Przekroju:

„Było to wkrótce, po powrocie Generała z zesłania tj. w 1947r. Z Moja Matka udaliśmy się w odwiedziny do pp.

Fieldorfów, mieszkających podówczas, podobnie jak my, w Łodzi. W czasie rozmowy o charakterze ogólnym przy herbacie p. Fieldorfowa zwróciła się do mnie: „masz okazję do rozmowy z Szefem Kedywu; pytaj o to, co cię najbardziej nurtuje”.

Generał wziął mnie do swojego warsztatu (z upodobaniem bowiem wykonywał prace rzemieślnicze), a ja zapytałem Go o sprawę, która wówczas najbardziej mnie nurtowała ze względu na wysuwane zarzuty pod adresem AK, a mianowicie o „stanie z bronią u nogi...”. Zarzut ten, jak wiadomo, dotyczył pierwszych lat działalności AK. Odpowiedź generała była następująca: „w początkowym okresie okupacji nie byliśmy w stanie przewidzieć skali represji Niemców za działalność sabotażową. Obawialiśmy się że społeczeństwo polskie w wyniku odwetu za tę działalność będzie ponosić ogromne straty.

Z czasem przekonaliśmy się z prowadzonej przez nas statystyki, że straty w wyniku eksterminacyjnej polityki najeźdźcy były takie same bez względu na to czy akty sabotażu miały miejsce czy też nie. To nas upoważniło do rozpoczęcia akcji dywersji na szerszą skalę”.

A teraz kilka słów o żonie generała:

Pani Fieldorfowa w latach poprzedzających wybuch wojny – przewodnicząca Stowarzyszenia „Rodzina Wojskowa” w Wilnie w pierwszych miesiącach litewskiej okupacji ziemi wileńskiej w 1939 r. wraz z grupą pań, żon wojskowych (w tym moją Matką), zorganizowała punkt Czerwonego Krzyża. Punkt ten niósł pomoc rodzinom kombatanckim, a konspiracyjnie – ukrywającym się oficerom i podoficerom Wojska Polskiego.

Pani Fieldorfowa należała do grona osób, które nawiązały bezpośredni kontakt z mjr Aleksandrem Krzyżanowskim (późniejszym Gen Wilkiem) z chwila jego przybycia do Wilna,

zapoczątkowujących działalność ZWZ na ziemi wileńskiej.

Pracę w Zakładzie Wysokich Napięć Instytutu Elektrotechniki (NWN/IEL) podejmuje w 1949 r. w charakterze asystenta, a następnie – adiunkta, docenta i kierownika Zespołu Pracowni. W latach 1956–1960 pogłębia postawy teoretyczne studiując dodatkowo na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

Specjalizuje się w dziedzinie profilaktyki urządzeń elektromagnetycznych w eksploatacji – owocem prowadzonych prac staje się opracowanie projektu instrukcji; która zyskuje rangę Instrukcji państwowej i przyczynia się do wdrożenia prób eksploatacyjnych (profilaktycznych) izolacji w energetyce. W 1955 r. należy do grupy osób nagrodzonych Zespołową Nagrodą Państwową III-stopnia w dziedzinie postępu technicznego.

Równolegle – bierze udział w pracach Zakładu NWN w dziedzinie technologii, produkowanych przez Fabrykę ELTA w Łodzi, olejowych transformatorów elektroenergetycznych. W 1958 r. staje się inicjatorem, a następnie wykładowcą kursów, dotyczących technologii ich suszenia i impregnacji. W 1961r. opracowuje założenia dla realizacji w/w procesu dla tworzącej się nowej fabryki.

Podejmuje badania w zakresie analizy mechanizmu procesu starzenia izolacji transformatorów produkowanych przez 2 fabryki: ELTA w Łodzi oraz Fabrykę Transformatorów Olejowych w Mikołowie. Pomocnymi w prowadzonych badaniach stają się studia fizyczne. W 1960 r. należy do zespołu opracowującego projekt laboratorium materiałoznawczego nowej Fabryki transformatorów w Łodzi (M-17) .

Niezależnie uczestniczy w projektowaniu Laboratorium Wysokich Napięć we własnym Zakładzie.

W latach 60-tych nawiązuje współpracę z zespołem Laboratorium Chemicznego Zakładu, którego kierownikiem staje

się w przyszłości jego żona. Zespół ten włącza się do prac badawczych, związanych z doborem i badaniami materiałów izolacyjnych konstrukcji urządzeń wysokiego napięcia, a w latach następnych – zasad ich diagnozowania w eksploatacji.

Działalność Jerzego nie ogranicza się do pracy badawczej – w tym samym czasie bierze udział w pracach Komisji Głównej Elektrotechniki KNIT na stanowisku sekretarza Podkomisji ds. Materiałów Elektrotechnicznych, a w latach następnych (do 1970 r.), jest przedstawicielem MPC, a następnie – MPM w Komisji ds. Olejów Energetycznych Międzyresortowej Komisji Oceny Przydatności Eksploatacyjnej Produktów Naftowych. Funkcja ta, przy współpracy z Instytutem Naftowym, umożliwia skuteczną obronę przed dostawami niskiej jakości oleju transformatorowego ze Związku Radzieckiego dla krajowego przemysłu transformatorowego.

Od lutego 1978 r. obejmuje stanowisko dyrektora Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Kablowego „ENERGOKABEL” w Ożarowie Mazowieckim, które pełni do 1993 r. Ten fragment życiorysu opisuje następująco:

„W lecie 1978 r. zostałem zaskoczony propozycją objęcia stanowiska dyrektora naczelnego OBR „ENERGOKABEL”. Ani moje pochodzenie socjalne, ani przeszłość „akowska”, których nie ukrywałem, ani bezpartyjność – zupełnie nie pasowały do znalezienia się w kręgu tzw. „nomenklatury”.

Poprosiłem swoich bliskich przyjaciół o poradę, czy wypada się zgodzić na przyjęcie tego stanowiska. Odpowiedź ich była „tak” – masz okazję przestać być kibicem rzeczywistości.

Objąłem to stanowisko, zastrzegając, że niech nie liczą na to, że zapiszę się do Partii...

Po 2 dniach dyrektorowania dowiedziałem się, że mój poprzednik popełnił samobójstwo, a Najwyższa Izba Kontro-

li prowadzi dochodzenie, oraz ze 2 pracowników jest aresztowanych.

Udało mi się wyprowadzić Ośrodek z opałów. Co się jednakże najadłem niewdzięczności, podejrzeń i przykrości od załogi... chociaż przyjechałem do OBR swoim, „maluchem” i wyjechałem – swoim „maluchem”, a za moich „rządów” dokonanych zostało kilka ważnych dla przemysłu patentów i nowych rozwiązań technologicznych.

Kiedy pewnego razu otrzymałem odgórny nakaz zwolnienia pewnej grupy pracowników – po prostu nie posłuchałem go i udało mi się namówić kilku dyrektorów fabryk, żeby też odmówili... Kiedy ostrzeżono mnie, że „mój” sekretarz partii zgłosił do miejscowej Egzekutywy wnioski o zwolnienie mnie ze stanowiska – noc przespałem beztrzesko... byłem bardzo zadowolony z siebie. Nie zwolnili mnie, większość członków Egzekutywy sprzeciwiła się... a szkoda.

W dniu ogłoszenia Stanu Wojennego, korzystając z wezwania „Generała” do dyrektorów przedsiębiorstw o przyjazd do ich miejsc pracy, ruszyliśmy z Lusią w drogę. Żołnierze na posterunkach wojskowych kompletnie nie znali „geografii” Warszawy wobec czego moja legitymacja dyrektorska wszędzie była respektowana.

Jechaliśmy z zamiarem użyczenia schronienia w Magdalence naszym znajomym. Dla mnie nie była to pierwszozna; dla Lusi – tak. Wyruszyła ze mną bez żadnego wahania.

Dla mnie było to oczywiste; w naszym domku, podwileńskiej Kolonii Magistrackiej ukrywali się przez jakiś czas zagrożeni aresztowaniem: Komendant Okręgu Wileńskiego AK „Wilk”, Zofia Komorowska „Zita” oraz Zygmunt Komorowski „Zyś”, zagrożony aresztowaniem przez Gestapo.

Z Lusią pojawiliśmy się najpierw u Hassów; spóźniliśmy się... Następnie – u Zofii i Adama Strzemboszków... w porę. Dzięki pomocy Lucy Radoszewskiej, wybitnego lekarza la-

ryngologa i jej kontaktom, udało się umieścić Adama w szpitalu „z podejrzeniem stanu przedzawałowego”. Dzięki temu nie tylko uniknął aresztowania, ale nie mogli mu dać wymówienia z pracy. Doczekał się interwencji prawników francuskich, domagających się od PRL, zaprzestania represji wobec prawników polskich i przesłano listę na której figurowało nazwisko Adama.

Mnie nie aresztowano i nie represjonowano. Zawdzięczam to, ku memu zaskoczeniu, Egzekutywie PZPR w Ożarowie Mazowieckim, mimo że zaraz po powrocie z wakacji w Walii, u stryjecznego brata, Sybiraka, trafiłem na grupę pracowników, która w imieniu załogi dopominała się o podwyżki płac, ja zaś ze swej strony zażądałem stworzenia grupy związkowej, co nastąpiło. Wyraziłem również zgodę na powstanie w przedsiębiorstwie komórki ZWZ „Solidarność”. Myślałem, że wylecę, ale niestety – nie.

Drugą okazję do zwolnienia dały „nieformalne” strajki Solidarności. Po jednym z nich otrzymałem nakaz od Ministra zwolnienia kierowników działów, którzy wzięli w tych strajkach udział. Oczywiście nie usłuchałem tego. Udałem się z wizytą do dyrektorów fabryk kablowych, namawiając ich do bojkotu tego zarządzenia. Jeden nie usłuchał... i wywieźli go z fabryki na taczkach. Wróciłem do Ożarowa... w kilka dni później zamówił się do mnie dyrektor Zjednoczenia, żądając spotkania ze wszystkimi członkami dyrekcji mojego OBR-u. Myślałem... no nareszcie. Przyjechał i wręczył nam nawet podwyżki, a Ministra zwolnili (sic).

W dniu ogłoszenia stanu wojennego sekretarz PZPR w moim OBR, zwrócił się do Egzekutywy PZPR miasta Ożarów o zwolnienie mnie z funkcji, ponieważ:

„bezpartyjnemu dyrektorowi nie ma możliwości wydać polecenia partyjnego”.

Życzliwi mi członkowie partii uprzedzili mnie o tym.

Przyjechałem z tą wiadomością do Magdaleny. Położyłem się spać i zaraz zasnąłem. Obudziłem się dumny z siebie, że w/w wiadomość nie wzbudziła we mnie żadnego niepokoju. U Lusi... też. Niestety – w/w Egzekutywa odrzuciła wniosek sekretarza OBR, i znowu – szkoda.../

Nastał stan wojenny. Dzięki pośrednictwu zaufanego członka „Solidarności” udało mi się wpłynąć na grupę związkową w OBR ażeby zawiesić działalność. Udało się, nikt nie został aresztowany ani usunięty z pracy. Zabawne było, że udało mi się namówić naszego „opiekuna” z UB do działań profilaktycznych; jak się dowiedział, że ktoś zbiera składki na „Solidarność”, szedł do niego i uprzedzał, że to grozi poważnymi konsekwencjami (sic). Ostrzeżony zaprzestawał tej funkcji, przejmował ją ktoś inny.

W dniu ogłoszenia stanu wojennego, w sąsiadującej z nami fabryce, robotnicy ogłosili strajk, którego bezpośrednią przyczyną było aresztowanie kilku członków załogi. Moja załoga spontanicznie przekazała załodze fabryki produkty żywnościowe, ja też. Co ciekawsze, nikt z załogi OBR nie poniósł żadnych konsekwencji. „Opiekun” tego nie dostrzegł.

Na naradzie zwołanej przez naczelnika gminy Ożarów zwróciłem uwagę, że strajk w fabryce wywołało przede wszystkim aresztowanie kilku członków jej załogi. Naczelnik zareagował nerwowo zapewniając, że „nie miał z tym nic wspólnego”.

Byłem pierwszym z dyrektorów w tym obszarze, który zalegalizował działalność „Solidarności”. Gdy odchodziłem - nie spotkały mnie jakieś spontaniczne pożegnania. Ale, po kilku miesiącach, kiedy w jakiejś sprawie odwiedziłem OBR – grupa robotników coś majstrowała przy wejściu i jeden z nich spytał : „Czy może pan, panie dyrektorze wraca...?”

Z „moim” Sekretarzem partii – bardzo serdecznie przywitaliśmy się.

Stwierdziłem, że najważniejszą sprawą jest rozliczenie się ze sobą, ze swoim sumieniem...

Wychodząc ostatni raz za bramę spotkałem dwie „ważne” osobistości: oficera SB, który „opiekował” się naszym Ośrodkiem, i szefa tajnej kancelarii. Wtedy jeden z nich powiedział do drugiego: Popatrz jak się nam dobrze współpracowało z dyrektorem Słowikowskim – nikogo nie „zamkliśmy”, nikogo nie zwolniliśmy...”. To były jedyne słowa uznania ze strony władz reżymu.

Pełnienie stanowiska dyrektora nie odcina Jerzego od pracy w Instytucie Elektrotechniki; uczestniczy bowiem w podjętych przez żonę, w 1982 r., badaniach, w ramach Projektu Badawczego Fundacji Marii Skłodowskiej-Curie, prowadzonych wspólnie z National Institute of Standards and Technology (NIST, USA). Badania te wnoszą istotny wkład, do wprowadzanej w Kraju, nowoczesnej aparatury łączeniowej na wysokie napięcie z sześćfluorkiem siarki (SF₆).

Poza pracą zawodową Jerzy pełni różne stanowiska i funkcje; do najważniejszych należą:

- od 1965 r. jest członkiem Stowarzyszenia Elektryków Polskich (SEP) w którym pełni, w różnych okresach, działalność w komisjach oraz w jego Zarządzie. Odznaczony srebrną i złotą odznaką SEP.

- w 1974 r. zostaje członkiem organizacji p.n. Międzynarodowej Konferencji Wielkich Sieci Elektrycznych (CIGRE). W latach 1978–92 reprezentując Polskę, pełniąc przez 3 kadencje funkcję Przewodniczącego Polskiego Komitetu Studiów nr 15 (Materiały Izolacyjne), jak również uczestnicząc w międzynarodowych spotkaniach Komitetu. W 1998 r. zostaje uhonorowany tytułem „Zasłużonego członka CIGRE” („Distinguished Member of CIGRE”).

- po przejściu na emeryturę – kontynuuje działalność w SEP, w 2009 r., powołany zostaje na funkcję Przewodniczą-

cego jednej z Komisji Polskiego Komitetu Normalizacyjnego (PKN).

Inną dziedziną, której poświęca wolny czas, to prace społeczne i współpraca z młodzieżą:

- po zmianie miejsca zamieszkania w 1950 r., pozostaje nadal członkiem Związku Młodzieży Chrześcijańskiej, „POLSKA YMCA”, które w 2007 r. przyjęło nazwę „Ognisko”,

- w latach 1956–59, pełni funkcje instruktora w Komen-dzie Chorągwi Mazowieckiej ZHP,

- w latach 1961–65 jest ławnikiem w Sądzie dla Nielet-nich, prowadzonym przez sędziego Adama Strzembosza. Z jego to inicjatywy uczestniczy również w letnich obozach dla więzionych nieletnich przestępców,

- jest członkiem Warszawskiego Środowiska Koła Wychowanków b. Szkoły Powszechnej i Gimnazjum oo. Jezuitów w Wilnie,

- jest członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Okręgu Wileńskiego,

- do 2012 r. jest członkiem Zarządu Fundacji Wspierającej Oświatę Polską za Granicą, SAMOSTANOWIENIE.

- Zainteresowanie historią znajduje ujście w pełnieniu przez 24 lata funkcji prezesa Klubu Uniwersyteckiego „Na RZECZ EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ”.

Ostatnio wymieniony Klub powstaje z inspiracji Zyg-munta Komorowskiego. W okresie wojny – wychowanek szkoły o.o. Jezuitów w Wilnie, następnie żołnierz 6 Brygady Wileńskiej Armii Krajowej, członek Solidarności, Prof. dr hab., afrykanista, obdarzony talentem dziennikarskim, i przez całe życie – poeta.

On to skrzyknął w październiku, 1989 r. – grupę swoich krewnych, znajomych kolegów – towarzyszy broni, w su-mie 38 osób. Co nas wszystkich charakteryzowało – to lata urodzenia – „Kolumbowie, roczniki 20-te”. Każdy z nas miał

bujną przeszłość konspiracyjną, większość z nas pochodziła z Wileńszczyzny.

Statut Klubu przewidywał: „Rozszerzanie wiedzy, dotąd często zaniedbywanej, o historii, kulturze i współczesnym życiu naszych sąsiadów a także dążenie do przyjacielskich zbliżeń naszego narodu z narodami rozsianymi, często w przemieszaniu, od symbolicznej Łaby po symboliczny Ural i od Bałtyku po Adriatyk”.

Funkcję przewodniczącego Klubu Jerzy przejmuje, zgodnie z wyrażonym życzeniem, po jego śmierci.

Kultywuje tradycje powstańcze w miejscu zamieszkania, w Magdalence: począwszy od 2006 r., uczestniczy w corocznych rajdach „Szlakiem Naszej Historii” organizowanych przez jednostki VII Obwodu „Obroża” Okręgu Warszawskiego ZWZ, Rejonu HELENÓW, Podokręgów – POLESIE, SĘKOCIN LAS, MAGDALENKA. W rajdach tych nawiązuje żywe kontakty z ich organizatorami i uczestniczącą młodzieżą. W dowód uznania za podjęte zaangażowanie jest honorowany Dyplomami „Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Zarządu Koła Nr 6 „HELENÓW”.

Przeżycia wojenne oraz represje po jej zakończeniu stają się również przedmiotem relacji w organizowanych przez parafię Kościoła Św. Marii Magdaleny spotkaniach w Kawiarce „Pod aniołami”. Zostały one utrwalone na płytkach i w formie zapisu internetowego Parafii.

Na zakończenie, refleksja Jerzego dotycząca Wilna :

„Jak pamiętamy, Rząd RP, wystosował notę dotyczącą niedotrzymywania przez Litwę ustaleń traktatu polsko-litewskiego oraz przepisów UE dotyczących praw mniejszości narodowych, dotyczy to Polaków na Wileńszczyźnie. Tym niemniej, prezydent Litwy, Pani Gribauskaitis (czyt. Grzybowska) brała udział w uroczystościach 11 listopada na Placu Zwycięstwa, w Warszawie i wygłaszała przemówienie po

polsku, również, razem z Prezydentem Polski, pokłoniła się przed pomnikiem Józefa Piłsudskiego.

Będąc niedawno w Wilnie stwierdziłem, że litewska młodzież wileńska nie odnosi się z nieufnością do Polaków, którzy tam licznie przyjeżdżają, natomiast Polacy wileńscy czują się jak w oblężonej twierdzy.

Był incydent bardzo nieprzyjemny w kościele Dominikanów, który jest polską parafia, związany z obrazem Chrystusa, namalowanym pod dyktando Św. Siostry Faustyny. Obraz ten powstał tuż przed wojną, a jego kult został rozpowszechniony w czasie wojny. Arcybiskup Wileński (Litwin), zwrócił się do proboszcza Dominikanów o zezwolenie wprowadzenia jednej mszy pod tym obrazem, odprowadzanej w języku litewskim. Proboszcz odmówił. Arcybiskup się wściekł i pod osłoną policji, wyrwał obraz z ołtarza i przeniósł do litewskiego kościoła.

Będąc w Wilnie, zaszedłem do kościoła Dominikanów, zobaczyłem ten obraz, ale nie mogłem się dowiedzieć, czy to „ten Obraz” czy jego kopia. Pełny kościół odprawiał Litanię Loterańską, ale obawiam się, że na „pochybel” Litwinom.

Litwa jest w bardzo trudnej sytuacji gospodarczej, ale sądzę, że korzysta z wycieczek Polaków; ślady polskiego Wilna są na każdym kroku. I nic nie pomoże, że na tablicy wymieniającej założycieli uniwersytetu, zlikwidowali ich nazwiska (nie Skarga, ale Skargas), rzekomo „rodowity Litwin”, który, jak dowiedziałem się od potomków tego rodu, wszyscy pochodzili z Mazowsza.

Spis treści

Wspomnienia z dzieciństwa	9
Pobył w Grudziądzu	26
Pobył w Wilnie	31
II wojna światowa	41
Przeżycia wojenne	42
Pierwsze dni wojny	44
Pod władzą litewską	49
W Litewskiej Republice Radzieckiej	58
W Kolonii Magistrackiej	61
Pod okupacją niemiecką	68
Czasy powojenne	91

Fotografie

do pierwszej część wspomnień



Zdj. 1. Mama, Janina
z Łosiów Słowikowska



Zdj. 2. Ojciec , Edward
Słowikowski dyplomowany oficer



Zdj. 3.
Szczęśliwy Ojciec



Zdj. 4. Już trzylatek



Zdj. 5. Dziesięciolatek,
uczeń 5-ej klasy

Fotografie

do drugiej część wspomnień



Zdj. 6. Dzielny gimnazjalista
okresu wojny



Zdj. 7. Kolonia Magistracka; na werandzie domku z Mamą
i zaprzyjaźnieni, tego domku mieszkańcy: stoją od lewej –
Lolek i Maja Szostakowscy, siedzą – Jerzy Słowikowski, a dalej –
p. Antonina Szostakowska, z Magdušką i za nią – Janina Słowikowska.



Zdj. 8.
Już partyzant, ale jeszcze
słuchający wskazówek Mamy



Zdj. 9. Żołnierz AK na posterunku w głębi lasu pod Wilnem.

Fotografie

do trzeciej część wspomnień



Zdj. 10. 1948 r. –
student Politechniki Łódzkiej



Zdj. 11. Udział w organizowanym przez Ks. Rostworowskiego spotkaniu z młodzieżą akademicką studiującą w Łodzi.



Zdj. 12. Inżynier, kier. Pracowni Zakładu
Wysokich Napięć Instytutu Elektrotechniki



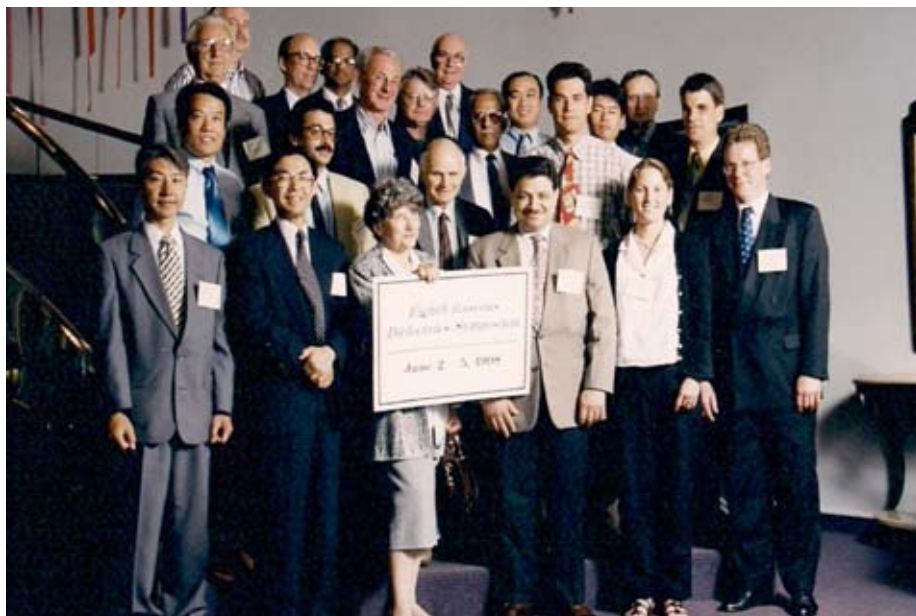
Zdj. 13. Dyrektor Ośrodka
Badawczego „ENERGOKABEL”
w Ożarowie Mazowieckim



Rys. 14. Spotkanie dyrektorów Przemysłu Kablowego na oplatku w OBR „ENERGOKABEL”. Przywitanie dyrektora Ośrodka



Rys. 15. OBR „ENERGOKABEL”.
Rozmowa przedstawicieli dyrekcji o nowym zadaniu.



Rys. 16. Udział, wspólnie z żoną, w otwarciu obrad „VIII Gaseous Dielectrics Symposium” (USA).



Rys. 17. Prace inżynierskie w terenie; pomiary wyłącznika na 123 KV z SF₆ na stacji WW. Na rusztowaniu – Iwona Łosiewicz, stoją: oboje z Lusią i pracownikiem stacji .

Awanse i dowody uznania



Zdj. 18. 2001 r.
Przyznanie awansu wojskowego



Zdj. 19. 2001 r. Przyznanie zaszczytnego tytułu
Weterana Walk o Wolność i Niepodległość.



Zdj. 20. Emeryt: nadal
pracownik naukowy i społecznik



Zdj. 21. „Pożegnanie” Ryszarda Kaczorowskiego,
Prezydenta na Uchodźstwie, w Belwederze.

Życie rodzinne



Zdj. 22. Przed portretem cioci Magdusi Koźmińskiej; rozmyślania o losach rodziny.



Zdj. 23. Udział w uroczystości maturalnej wnuczki Lusi; obok mnie Busia i Gosia



Zdj. 24. Wizyta w Ojczyźnie ukochanego, stryjecznego brata, Leszka Słowikowskiego (Sybiraka, zamieszkałego w Anglii), z żoną, Moniką



Zdj. 25. Relaks przy grze na pianinie



Zdj. 26. Radość jaką sprawia praca w ogrodzie: róże w „Alei Jerzego”.

Kontakt z zaprzyjaźnioną rodziną



Zdj. 27. Uroczystość 90-tych urodzin Jadwigi Komorowskiej, żony Zygmunta. Obecni: na pierwszym planie – Ja z Lusią, od lewej – wnuczka i siostra Zygmunta, Bożena Okasa (Trzebska), solenizantka, Władysław Okasa



Zdj. 28. Fragment spotkania z okazji czterdziestolecia małżeństwa.
Obecni: poza mną i Lusią: siostra stryjeczna Ewa łoś-Jankowska
i przyjaciele – Zygmunt Hofmoki-Ostrowski i Włodzimierz Tabian.

Jerzy Słowikowski 1928–2014

Jerzy Stanisław Słowikowski ur. 7 kwietnia 1928 r. w Krakowie, syn Edwarda Słowikowskiego, pułkownika dyplomowanego, i Janiny z Łosiów.

Czas wojny: rodzina mieszkała w Wilnie, gdzie chłopiec skończył szkołę powszechną i gimnazjum.

Ojciec jego w 1939 r. zaginął na froncie. Później okazało się, że był więziony na Łubiance i stracony, prawdopodobnie w Starobielsku.

Jerzy jako szesnastoletni chłopiec został żołnierzem AK Okręgu Wileńskiego i brał udział w walkach partyzanckich na tym terenie.

Pod koniec 1944 r. przedostał się do Warszawy i tutaj, ze względów bezpieczeństwa, wyrobił sobie nowe dokumenty osobiste w których zmienił niektóre dane osobowe.

Nauka i praca zawodowa: w roku 1946 zdał maturę w liceum matematyczno-fizycznym i rozpoczął studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Łódzkiej. W 1948 r. przeniósł się na Politechnikę Warszawską, którą ukończył w 1952 r. po czym rozpoczął pracę w Instytucie Elektrotechniki, jako – najpierw asystent, potem adiunkt, kierownik Pracowni, docent w Zakładzie Wysokich Napięć. W tym też czasie, w latach 1956–60 studiował na Wydziale matematyczno-Fizycznym Uniwersytetu Warszawskiego, a następnie, w latach 1960–62, w Katedrze Techniki Wysokich Napięć Politechniki Warszawskiej pełnił funkcję – najpierw st. asystenta, a następnie wykładowcy.

W roku 1978 został powołany na stanowisko dyrektora Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Kablowego „Energokabel”, który prowadził do 1993 r.

W tym samym roku podjął na okres 1 roku ponownie pracę w Zakładzie Wysokich Napięć Instytutu Elektrotechniki w charakterze Starszego Specjalisty.

Od 1952 r. należał do Stowarzyszenia Elektryków Polskich (SEP), w którym pełnił różne funkcje: w Agendach Zarządu Głównego, a następnie – Przewodniczącego Centralnego Kolegium Sekcji Przemysłu Elektrotechnicznego.

Po przejściu na emeryturę uczestniczył w pracach badawczych ważniejszych ośrodków i firm, kontynuował ponadto działalność w SEP. W 2009 r., powołany został na funkcję Przewodniczącego Komitetu Technicznego 303 PKN.